

DUNAJCZA

Nowosądecki tygodnik PZPR

Nr 30/31

24-31 lipca 1988 r.

Cena 60 zł

PL ISSN

0208-5968

Nr indeksu 35657



Fot. JERZY ŻAK

Jerzy Masior

Serca kołatanie

Bywało — góróm się kłaniamy,
Bywało — w rzekę strumieniami,
Bywało — łąka, bukiet lata,
Bywało — szliśmy z końca świata.

Teraz nie chabry i nie steny;
Ziemia o której wszystko wiemy,
Teraz szeroko, coraz szerzej
Chociaż wciąż trudno jest uwierzyć.

Tutaj — te sploty, to korzenie.
Tutaj — te wszystkie przypomnienia,
W sercach — te jakieś kołatania,
Byłe nam rytmów nikt nie wzbraiał.

Będzie, że pośród dróg i ścieżek
Już nasze między ludzie mierzą.
Nasza dlatego niecierpliwość.
Dlatego — ból. A to już miłość.

Tablica pamiątkowa

Anna
prawdziwie piękna córka —
prawdziwego pułkownika
walecznego pułku piechoty
uprowadzona z balkonu narożnej
kamienicy

z miejscówką
na zafundowaną podróż
ze stacji Podzamcze
w semipalatyńską obsłab'.
Tych stron świata
nie nauczono nas
u Szajnochy
ani u Urszulanek
ani u Strzałkowskiej

Ze słów niewypowiedzianych
ze spojrzeń nierozpoczętych
wmurowałem
tablicę pamiątkową
róży Kazachstanu
Annie.



W tustrze statystyki

Lipcowe Święto jest dobrą okazją, by na swe gniazdo górskie, na region najbliższy, spojrzeć uczciwie — a to znaczy szczerze, z troską, ale równocześnie — dociekliwie, nie odwracając wzroku od miśnięci zastawiających. Red. Stefan Ciepły — „Rocznikiem statystycznym” w ręku — próbuje osadzić nowosadeckie wśród innych województw. Porównuje, jak wypadłaby w roku minionym na te kraje. Zastanawia się, w czym poszliśmy do przodu, a w czym odstajemy.

Lektura tego wypracowania wymaga trochę cierpliwości, ale warto się potrudzić, by poznać prawdę o swojej „małej Ojczyźnie”.

Powierzchnia

Pod tym względem od 13 lat sytuacja się nie zmienia. Placujemy się na 31 miejscu pod względem wielkości powierzchni (5,76 km kw), a więc daleko za województwami olętnickim, które obszarowo jest dziś największe (12,237 km kw). Dodam, że pod względem administracyjnym cały nasz obszar podzielony jest na 43 gminy i posiada 148 miast. W ilości gmin ustępuje mi wyraźnie województwo kieleckie, które ma najbardziej rozwinięta (czy rozdetą?) strukturę administracyjną. W ilości miast porównuje oczywiście katowickie 145, i poznańskie — 53, zaś zamykają tabele chemickie — miasta i zamójki — 5 miast.

Ludność

W dniu 31 grudnia 1986 roku (rocznik statystyczny zawsze podaje dane z pewnym opóźnieniem) miesiliśmy 173,6 tys. mieszkańców, co stawiało nas na 22 miejscu w kraju. Najludniejszemu nadal katowickie, w którym mieszka prawie 4 mln osób, a więc co najmniej 10 razy więcej, a najmniej mieszkańców liczyło województwo chełmskie, bo 242,5 tys. Pod względem gęstości zaludnienia (120,8 osób na km²) nasze województwo nieomal pokrywało się ze średnią krajową (120,2).

Wiek i płeć

Pod względem „produkcji” dzieci przodkowie w kraju! Procentowo w stosunku do pozostałych grup wiekowych ludności legitymujemy się największym procentem dzieci, bo wynoszącym 34,7, gdy tymczasem średnia krajowa ustabilizowała się na poziomie ponad 30 procent. Równocześnie posiadamy (z województwami białsko-podlaskim) najmniejszą ilość dorosłych w wieku produkcyjnym (zaledwie 33,9 proc. populacji). Łatwo policzyć, że w wieku emerytalnym miesiliśmy w tym czasie 11,4 proc. ludności. Charakterystyczny cechą rocznicy nowosadeckiej jest wieloletniość.

Płeć piękna, podobnie jak w całym kraju, stanowiła większość (105,5 na 100 mężczyzn), ale tendencja, która daje się do-

ższych okresach zaobserwować dowodzi, że mierzącym ratę w naszym województwie do wyrównania się ilości kobiet i mężczyzn. Bezpłatnie udzielamy tutaj porad matrymonialnych. Ołóż polowanie na meza najkorzystniej jest przeprowadzić w województwie ostrołęckim (100,3) lub łódzkim (100,2), gdzie ilość pan — jak widać nieznacznie tylko przewyższa ilość meżczyzn.

Małżeństwa i rodziny

Nasi kawalerowie nie kwapią się do ożenku. W roku 1986 zawieraliśmy 6,8 małżeństw na 1000 mieszkańców, co sytuowało nas pod względem ogólnej ochoty na 13 miejscu w kraju, od kochanki. Natomiast wynagradzamy (i niechęć stabilności użycia). Mniej rozwodów było tylko w białostockim, krosińskim i tarnobrzeskim oraz tarnowskim. Nasi sąsiedzi okazują się najwytrwalsi w małżeństwie, albo — mają najurowieśnięte sądy orzekające w tych sprawach.

Urodzenia

Nie tylko mamy najwięcej dzieci, ale również produkujemy (wspólnie z woj. suwalskim) pod względem ilości urodzeń na 1000 mieszkańców (20,8). W porównaniu ze stolicą (12,9) rodzi się ich prawie dwa razy więcej, co pociąga za sobą naturalnie określone potrzeby inwestycyjne: wciąż mało jest żłobków, przedszkoli, szkół, ośrodków zdrowia.

Niestety, pod względem ilości zgonów nieomalw na „1000 urodzeń żywych” — który to wskaźnik uważa się w świecie za jeden z mierników stanu sanitarnego kraju i poziomu opieki medycznej — jesteśmy ze wskaźnikiem 14,6 powyżej średniej krajowej (17,3). Najgorzej jest w piotrkowskim (23,8), ale nie ma się co porównywać, bo to już jest poziom Trzeciego Świata. Najlepiej natomiast w poznańskim (14,1), które prezentuje przyzwoty średni poziom europejski!

Wyjazdy (w kraj i za granicę)

Saldo migracyjne naszego województwa jest ujemne, jak się zresztą można było spodziewać. Właściwie spośród 49

województw, tylko trzy: katowickie, stołeczne i poznańskie mają liczący się przyrost ludności napływowej. Nasze województwo należy do emigracyjnej czołówki, plasując się ze wskaźnikiem 1,6 tys. osób pod koniec pierwszej dekady, m. in. za elbląskim (2,3), kieleckim (2,3), wrocławskim (2,3) czy wabrzyńskim (2,6). Naturalnie więcej się w tych wielokrośskich również naturalny ruch ludności, zwłaszcza młodzieży idącej ze szkół średnich na studia, اکثر zatrudniającej po studiach itp. Statystyka nie wyodrębnia wyjazdów zagranicznych i powrotów.

Zatrudnienie

Spojrzalem do tekstu publikowanego przed dwoma laty. Okazuje się, że zatrudnienie w gospodarce upośledzonej stale w naszym województwie maleje. Czy dzieje się jak wskutek przepływu sporej ilości pracujących np. w budownictwie do sektora prywatnego? — nie wiadomo. W każdym razie ilość zatrudnionych w gospodarce upośledzonej była o 6 tys. osób mniejsza niż przed dwoma laty. W ogóle ze wskaźnikiem 248 zatrudnionych na 1000 mieszkańców byliśmy na 5 miejscu od końca, przed województwami typowo rolniczymi. Nie się natomiast nie zmieniło jeśli chodzi o dwuazadowodowość zatrudnienia, nadal obejmuje ona jedną trzecią pracujących w gospodarce państwowej. Sprawa naganna, (choć znajdującą pewne uzasadnienie w ilościach narodzin dzieci) jest fakt, iż nadal chętnie przywram na ulopach wychowawczych. Nasze panie pod tym względem, dziewczęta bezpryorny prym w skali kraju — 8,9 procent ogółu zatrudnionych przebywało na tych ulopach. Takiej skali nikt sobie architektów tego ustawodawstwa nie wyobrażał.

Plac

Jaka praca taka płaca. Nie śmiesz przysądzać, czy ta wytyczna miała zastosowanie w naszym województwie, w każdym razie z placą 20,204 zł byliśmy w roku 1986 na 12 miejscu w kraju. Wzrostło, chociażże zarobki osiągały tylko zatrudnieni w województwie białkopodlaskim. Rzecz jednak charakterystyczna, że ośa niska była w województwie łódzkim, a więc ośa przemysłowe. Tu z kwotą 21,867 zł nasze placę znajdowały się na 34 miejscu. Wzięta zatem na niskim wskaźniku naprawdę niepodobna afera budowlana, a więc oświata, handel, służba zdrowia itp.

Na jeszcze jedno wymaga komentarza. Najniższe w kraju placę były też w nowosadeckim budownictwie. Można przypie nad tym do porządku dziennego, biorąc pod uwagę fakt, że nie ma ono raczej charakteru reprezentacyjnego. Niemniej

trudno tego czynnika nie uwzględnić analizując raz jeszcze rezultaty osiągnięte na naszych placach budów.

Warto może jeszcze dodać, że najwyżej placę w roku 1986 były w woj. kieleckim (33,627 zł) i legnickim (26,740 zł).

Służba zdrowia

Jeśli dła lata wczesnego (w roku 1984) woj nowosadeckie ze wskaźnikiem 167 lekarzy na 10 tys. mieszkańców znajdowało się na 14 miejscu w kraju, to teraz (w roku 1986) przy minimalnej poprawie nasycenia (16,9) przesuńmo się na 12 pozycję. I można by się cieszyć, gdyby nie fakt, że w tym samym czasie średnia krajowa wzrosła znacznie dynamicznie, a równocześnie do statystyki nadal umiowano w naszym województwie lekarzy zatrudnionych w sanatoriach, i trudno to inaczej sobie wyobrazić, ale z kolei stopień świadczeń opieki medycznej na rzecz miejscowej ludności w czystym sposobie musiał być mniejszy, gdyż sprawałom oni nadzór nad tym, co się działo w tym samym czasie z tymi samymi pacjentami z całego kraju.

W zatrudnieniu lekarzy obserwujemy narastające dysproporcje w skali kraju. W miastach — gdzie siedzibami akami — średnia w woj. łódzkim — 30 i więcej na 104 tys. mieszkańców. W stolicy tylko ułamek procenta (jest 39,9) brakuje, by zdublować średnią krajową. Natomiast w tzw. terenie, w wielu województwach sytuacja jest wręcz dramatyczna. Np. siedleckie posiada 9,6 lekarzy na 10 tys., zamójskie i ostrołęckie po 10,8, konińskie 11,3, elbląskie 11,8.

Fatalnie jest także z dentykami, przy czym tu nie tylko wskaźniki nasycenia dawała niepokój, ale również nonsens na organizacja pracy. Przy tej samej ilości stomatologów (4,6 średnia krajowa) w Finlandii obejmuje się opieką dentyścyczną całość populacji. Naturalnie w takich województwach jak ciechanowski, chełmski, ostrołęcki, przemyski, siedleckie czy zamójskie, gdzie ilość stomatologów nie przekracza 3 na 10 tys. ludności, może być nie może. U nas wskaźnik ten wynosi 4,1. No ale jak wytłumaczyć sobie trudności z opieką stomatologiczną w Łodzi czy Warszawie, skoro jest tam więcej niż 7,5 lekarza-dentysty? Tymczasem zależe prchnięta, a my się reformujemy. Tyłko, że tego w rocznikach GUS się nie odnotowuje.

Podajmy, że pielęgniarki mają nieco powyżej średniej krajowej, bo 5,27 na 10 tys. mieszkańców, a średnia wynosi 49,6. Podobnie jest z położkami w szpitalach. Województwo ma 58,9, a kraj 56,8. Ale to naprawdę nie oznacza, że w Nowym Sączu jest dobrze. Gdzie nie ma szpitala tam nie ma.

Kultura

Trudno to wytłumaczyć, ale „Rocznik” nie przynosi żadnych danych dotyczących np. stanu czytelnictwa, frekwencji w kinach, nasycenia ilością radiodiodobiorów czy telewizorów — nie w ujęciu województwa nie ma. Niejakie na pocieszenie znalazłem wskaźnik sprzedaży gazet i czasopism na 1 mieszkańca. Z ilości 65 egzemplarzy znajdujemy się na 33 mie-

Jak wypracować się z biedy

Gdyby ludzie nauczyli się to czynić przez cnotę, to co czynią przez instynkt, o ileż lepszy byłby świat.

Jesienią 1985 roku pisałem na łamach „Dunajca”:

Jeszcze niedawno mało kto słyszał o istnieniu Kanianny, malowniczej wiosni położonej prawie w lesie, kilkadziesiąt kilometrów od szosy z Krynicy do Nowego Sącza. Środkiem wsi, wzdłuż potoku, wśród pachnących dębów i świerków, asfalt wspina się do góry. Za murami winiarski domiaki niskiej klasowej ziemi dotykają się lasu.

W centrum — spadającym, czerwonym dachem kryty — biał się budynek. Pierwszy w Polsce i ponoć w Europie Dom Pszczelarza. Dzieło wiewi ludzi, w tym — księdza Henryka Ostacha, proboszcza miejscowej parafii (liczącej zaledwie 137 dusz i 28 zamieszkałych nieruchomości), teologa, spe- cjalisty w dziedzinie biblioteki orientalisty (doktorat o symbolach Dobra i Zła w Księdze Hioba), przewodniczącego Polskiego

Związku Pszczelarzy lokalnego, hodowcy dorodnego byta, prezesa tutejszej Ochotniczej Strazy Pożarnej.

Ksiądz Ostach trafił do Kanianny w 1960 roku po długich, na dwóch fakultetach odbytych studiach. Najpierw pracował we Włoszech, w słonecznej Genui. Wybrał jednak Kanianną, bo ujrzał tu ludzi, których ciągle wiał wiatr w oczy.

Przyjechałem na to oświadczyć, bo kocham po prostu trud. W pracy i znuju czuję się najlepiej. Cały majątek zmieszczonej w jednej teście. Nocowałem napieru w łóżku. Napierużem się ułody na biedę. Później dostałem strach, opuszczony dom. Spalem na sienniku i przykrywałem się płaszczem. Do śmierci nie zapomniałem, jak penna kobierca przyniosła mi kilogram kuki i purnazek kwazojowej kaputy. Było to dla mnie więcej niż kuferek złota. Cały czas zastanawiałem się, jak i wieś z biedy wyrwać i ku lepszymu poprowadzić...

★

Najpierw wybudował drogę, doprowadził światło elektryczne, założył straż pożarną. W niewykwintnym tempie stanęła murowana remiza — z salą widowiskową,

klubem i łaźnią. W ciągu roku — wodociąg. Gdy oddawano do użytku Dom Pszczelarzy, sekretarz zarządu, Zbigniew Mielech, i minister rolnictwa, Stanisław Chleb, uhonorowali księdza Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Henryk Ostach powiedział wtedy:

— Boję się, żeby w ocenie naszych wysiłków nie było przesady, ale nie potrzebna jest fałszywa skromność, bo rzeczywistość odnieśliśmy wspólnie niejedno zwycięstwo. Napieru droga połączyła nas z cywilizowanym światem. Później już upadliśmy w trans. Człowiek jest bowiem stworzony do zwycięstwa. Zaczęliśmy głębie. Ponowienie pomnaża się i upór w realizacji następnych celów. Sam nie dokonałbym w Kaniannie niczego. Dniś spełniłoby się moje marzenie, gdyby w polskim kraju niepodległościowcy i walczący w Powstaniu Wielkopolskim. Henryk w 1945 roku był słuchaczem szkoły oficerskiej

w Kaliszu. Dopiero później los zaprowadził go do seminarium duchownego w Tarnowie.

★

Kanianna po niepełna trzech latach. Liczy już 158 stałych obywateli, ostatnie dziecko urodziło się w Tosińsku. Od niedawna mają tuż przy kościele nową soltysa — Władysława Wotusa, „swoją” radną do Gminy Radu Narodowej w Labowej — Elżbietę Dudę. Oboje, wyrosli z ka-

niestony. Sądząc na konia uroczyście.

Ostaniec z Bogiel
Bogiel prowadził odpowiedział na niego.
Zjadł w milczeniu ku dolinie. Długo,
długo szło za nim po roście granie Filouso-
wej fufury. Książd zdążył prosto na ranną
mżę swojego starego, drewnianego
kościółka.

Tak z roku na rok zniżniał się ksiądz
Szczepan wśród jagnięt i górn. Latem lubiał
siadywać na ganku na plebani. Pali ogro-
mne fajczysko i racępalni każdego prze-
chodnia. Nigdy nie był styły rozmowy i
ludzkiego ciepła. Prawilo się tam z każ-
dym o wszystkim, o krowach, świnach,
koniach, żonach i mężach, o dzieciach, o
karczynie, o biatykach, wesełach i jarmar-
kach. Radzi ludzie z proboszczem ugwa-
rzyli, chyba że już ktoś tam miał coś na
umieniu, to z daleka plebanie omijał.

Opowiadał Andrzej:
Bel taki gązda, z Hamaryki wrócił,
murawiane pobudował, jantarsa roz-
tomiałe robił. Wolali go Mijol, pisa się Zbro-
zek. Przyszedł on rok ku jęgonosini na pleba-
nijom o dudki, niby na jantarsa, pytać.
Jęgonosie się skrenoli, ale z jantarsa był
fajny, cysty, zawierzył Mijolowi ryńskis-
ko. Co się dzieje, jantarsa się udol, ale
Zbrozek kasi inendy pniałode minoi tak
się zwlekało. Ani dudków, ani procentu.
No, pomstował ty jęgonosie, kielo wlażo,
odkazywał temu Zbrozkowi przez ludz-
kie, nie.

Skręcił się Zbrozek kielo mógł, cekoć
kazoł, że przecie nie ucieko, ale dudków
nie oddał. Wzięto go z jęgonosie z ambry
przymawiać, he, to Zbrozek od ty niedzieli
do kościoła w Olsówkę chodował. No i
tak się wiekło. Jakosi, jak był już jej ci, ci,
musiał Zbrozek, za przepytaniem, z kro-
wom do bycia iść. To ci diporo los, jęgo-
nosie tylko mieli bycia najlepszego, cyrwie-
ninko, dobry krwie. Wypatrywały
Zbrozka, dzmoci, cy tak jęgonosie nie
pojadom z dumą, jawe wypatrywał w który-
si dzień, że ksiądz Jasiak kiewie zapra-
ga. He, w te pedy do taty, że jęgonosie kasi
nie był w Miśane – jedzie, bo Jasiak
jęgonosie w kiewie rzytkuje. Odebrali
kiewie, bo od nik do plebanie nie było widno,
i kie się już dało słyszeć, że kiewie jadom, łap
ten Zbrozek krowe na postrońce, papirka
to garzel, bo teta się nie płacilo, i na
plebanijom ku gospodyn.

Co, się nie robi w złom godzinie, nas
Zbrozek na podwórko, a tu jęgonosie kasi
nie był w Miśane – jedzie, bo Jasiak
jęgonosie w kiewie rzytkuje. Odebrali
kiewie, bo od nik do plebanie nie było widno,
i kie się już dało słyszeć, że kiewie jadom, łap
ten Zbrozek krowe na postrońce, papirka
to garzel, bo teta się nie płacilo, i na
plebanijom ku gospodyn.

Co, się nie robi w złom godzinie, nas
Zbrozek na podwórko, a tu jęgonosie kasi
nie był w Miśane – jedzie, bo Jasiak
jęgonosie w kiewie rzytkuje. Odebrali
kiewie, bo od nik do plebanie nie było widno,
i kie się już dało słyszeć, że kiewie jadom, łap
ten Zbrozek krowe na postrońce, papirka
to garzel, bo teta się nie płacilo, i na
plebanijom ku gospodyn.

„Tu ja krew. Z czymże?”
„Joś ty, z przepytaniem, z bydyćciem,
kiewie nie pozwolił jęgonosie mógł krow-
ie ku bykowi?”
Fte dopirz jęgonosie kie nie wzrasnom:
„Ka moje dudki? Som se, psokrow na
kiewie?”
No, zbiral się Mijol wartko z ganku,
cybuchów nie licy, sytko dzieciom i babie
w chłupie oddał, co od jęgonosie dobiło.
Potem się ujedniali, bo Mijol dudki i procent
odniósł.

Jak wyrwać się z biedy

(CIĄG DALSZY ZE STR. 3)

wa, że autobus z Sacza (jeden w ciągu dnia) zostaje odwołany.

Malym trzęsieniem ziemi było zrzę-
wienie z usług Graniej Spółdzielni z
Krynicy. Wzięto wyzwołanie z usług spo-
dzielni, która nie dbała zbytnio o zapo-
życzenie jednego sklepu, a w dodatku za
krowy, świń, wywołanie, niecierpiło pła-
ciło jedynie 3,5 tys. zł miesięcznie. „Mamy
reformę, będziemy więc rządzić się sa-
mi – postanowiono – lepiej na tym wy-
życiemy. Obok twórców typowych dla
wiejskiego sklepu sprzedawcy będziemy
miodowe raryfasy: mleczko pszczele w
tabletkach, propolis, masełki miodopodob-
ne.”

Kłopot sprawia sprzedaż miodu pitne-
go, zgodnie z ustawą antyalkoholowa, do-
stępnego w kawiarni po godzinie 13.

Część wywołanie trafia do nas przed
południem i z całym maszyną odmnożeń
konsumpcji szlachetnego przeciekt trumy.
Jakże to, być w stolicy pszczełarzy i nie
spróbować miodu pitnego? Może dyrektor
Urzędu, Wzwołującego znajduje jakieś
rozwiązanie, przeciekt nie chodzi tu o roz-
pamiętanie ludzi, ale uprość przeciekt – o
kulturalną degustację lampki trójnaka.

Tęgo przisła ludzi straża bieżnia.
Wiosna była ciepła, było wieno kwasi-
talo w same zbójki, zaś że mało komu
dało zebrać, pote przisła powódź, narobiło
kwasu do ostbaki, tak od świętyja Jadwigi
wienio śniegiem kurzić i kurzilo do sa-
myk Godów. Nojstarsi ludzie nie bacyli
takie casow. Rok był swiniaki, to się i
dzikie swinie pokazały, grule ryły co i
ludzie z bidom i lamentem spóć śniegu
kopali. We wasi bida, gód, Pędzili te dziki,
polowali na nik pon leśnicy i towarzysza,
chodzili za nim Przybrytek i Pilka, ale
dobysła temu rady? Tu ki wyzieniom, na,
to się obrocem kasi inendy i wse ku ludz-
kiej skłodzie. No i co si nie dzieje, w
samym Trzok Krowi. Zesło się naroda doś-
na sume, chociaż śnieg był taki, że bida belo
z chłupy wyjść. Poprzebierali się, jak
mogli, bez zaspy, cy to na nogak, cy
koni, mroz był wte setny.

Zepchali się ludzie, jak mogli, do kościo-
ła, tuki i puk co cud. Jęgonosie sumo
odprawioł. Co się nie dzieje kie już
kiesioni na ambone wylazł, leci od wsi
chłopskiego z krzykiem. Akurat przy-
dzierzał stoł pon leśnicy, a chłopcosko
do niego: – Panie leśnicy, styry dziki na
smentorzu ryjom, wielkie co cud, im in-
grzybie ze śniegu widno.

Co tu robić, kie leśnicy z gweroem do
kościola przeciekt nie chodzące. No, ale
on ktoś tyż gruby, wartki był, Obiecił
kościół, stanom na murku, pozoro ko smentor-
zowi, wiera, dziki som, ino się w tym
śniegu plawiom. Skocył do zakrystyje, do-
łapł kosielskiego i gwarzi: „Wojciechu,
dejece jęgonosie wydaciekt, że dziki na
smentorzu ryjom. Pytaciekt, kany ma
patruny, bo gwier, to jo wim, ka wasi!”

Jużi, sprawa ważna – dziki na smentor-
zru. Przepchali się Wojciech ku ambonie,
lezie na raku po choćku, zebý go zaś ta
nie sytkła widziełi, i ciągnie jęgonosie za
komezke.

Urwali jęgonosie, pozoro ku Wojtkowi i
pyto się:

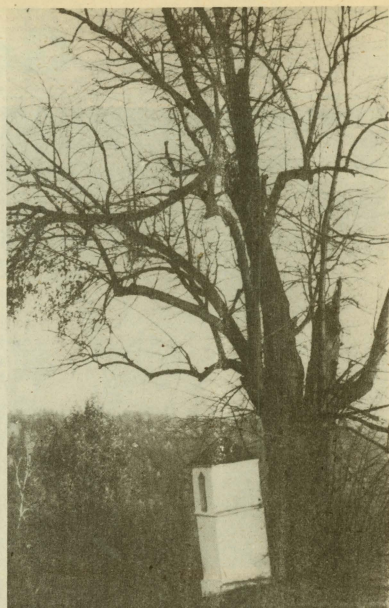
Co fecieć po minie?
Wojciech mu tyż po choćku, co i jak
kany – pyta się, że patruny som?
„W bibliotece za kszonkami!” – fuknal
jęgonosie i zaś się ku ludzjom obrócił,
nale się mu cośi zbycło, a Wojtek już we
drzaw, no to na cały głos wrzasnom:
„Powiedz ta leśnicemu, że cożaby, do
polowy ze mnom, bo patruny moje i
gwier!”

Mieli ludziska świętokróleskie kazanie,
lemez końca doczekali, telo bel ciekawki.
Pobikili ita po naleśnicy dwa, a dwa posy.

Ołkno szpitala wychodzi na ogród, Bje
w nie wiatr marcowy wraz z deszczem,
gnie czarne konary. Książd Szczepan o-
part czolo o szyby i ślepyimi oczyma chce
wzrokować z mroku dnia choć jeden krow
zarytowany. Darenno. Obłocie miejsca dzie-
czy gorzej od bólu. Odrywa się od szyby i
zmierza w głąb izzby. Drżącymi rękoma
szuka przed sobą wolnego przestrzeni, z
trudnością się odwróci, w końcu wspiera się
głową na dłoń i zapada w zadumę.

No, tak już gotów – szepce do siebie
mimo rodzinnej ziemi.

W tym momencie do izby szpital-
nej Marta. Przybyła z nim do obcego



Fot. ANTONI ŁOPUCH

miasta, jedyny łącznik z minionym ży-
ciem, wiersz do ostbaki.

Już wszedłem w ciemność. Marta.
Daj mi tam z walizki zawiniątko, nieduże,
w szerynce. Leci na dnie.
Słyszysz, jak stara sługa grzebie nieporad-
nie w walizce. Czyżby wrzeszcze w rękach
płotno. Książd Szczepan uśmiecha się,
opuchłe palce rozsuwają pozółkie różno,
walczą z ciemnością. Sądzi, że nie ma, i
jakby przetrząsnął paciorek różno.
Wymjuje z szerynki kawał suchego,

owsianego płacka i całuje gorąco. Lza
wielka i blizująca wypływa spod powie-
ki.

Matka... matka mi ten chlebuś na
plecach do szkoły niesła – mowie wolno,
jakby czytał Ewangelie. Na nogach,
piaski, w deszczu niedziela, dla synka. Ma-
tka. Mama.

Ze szczytami, zeschłą gładą chłopskie-
go płacka na pierśach umiał książd
trudności krakowskiej Akademii Rolnic-
zej. Z szczytami, zeschłą gładą chłopskie-
go płacka na pierśach umiał książd
trudności krakowskiej Akademii Rolnic-
zej. Z szczytami, zeschłą gładą chłopskie-
go płacka na pierśach umiał książd
trudności krakowskiej Akademii Rolnic-
zej.

jada w 1991. Materiały budowlane będą
rodzime, a wyposażenie zagraniczne. Łą-
cznie 220 łózek w oddziałach pediatrii,
kardiologii, urologii, ginekologii, laryngol-
ogii i dermatologii – kosmetyki medycz-
nej.

Czy stać nas na tak szybki termin
oddania tej inwestycji do użytku? – za-
stanawia się ksiądz Ostach. – Wierzę, że
tak. Sanatorium apterapii to szansa, ol-
brzymi impuls dla Kamiannej i całej
Ziemii Spółdzielni. W prę wchodzi dzieło
Sanatorium podjęcie współpracy (choć-
by w zakresie zabiegów) z nowoczesną
szkołą zdrowia, wojewódzkim szpitalem
zespólnym. Zaidzie więc konieczność
wznowienia zripitła w wojskowej klasie
sprzęt medyczny. Trudne to będą sprawy,
ale wszystko co wielkie jest trudne...
Na biurku księdza Ostacha leży za-
legła korespondencja. Oto list z dalekiego Wie-
tnamu: VA HOI NKOI ONG BA LAN –
po polsku znaczy „Przez Polskiego
Związku Pszczelarzskiego”. Wietnamczy-
cy proszą o pomoc i radę: chcą nad Mekon-
giem budować dom pszczełarzy. Z hispa-
ńskiej Guadaluajary przyjechał szef depa-
rtamentu rolnictwa, aby zapoznać się z
naszymi doświadczeniami w gospodarce
pszczej.

Energia księdza promieniuje na otocze-
nie, scala współpracowników. W pasiece
gospodara Jadwiga i Jacek Nowakowie,
doskonal fachowcy. Jacek potrafi cał-
dzień przesiedzieć przy ulari uniesienia
pyszczół pszczoły – matki. W pasiecznej robo-
cie asystują przebywające na praktykach
studentki krakowskiej Akademii Rolnic-
zej. Beate Bitner zastępuje Małgorzata
Bednarska z Rożnowa i Agata Ozimek z
Bielka Białej. Klercy, którzy przeży-
dzą do tutejszej pracy, muszą umieć
prowadzić traktor i posługiwać się elektry-
czną dojarką...

Księżda Ostacha cieszą osiągnięcia ma-
teriału mieszkaniowego: nowy domy, kole-
rowe telewizory, lodówki, murowane o-
bory – Górale są solidarni w czynnie,
pracownicy. Oni urosli w te ziemie i nie
poprzestają na deklaracjach. Każdą pro-
gram musi tu być konsekwentnie realizo-
wany. Na ich konsekwencje pokaze każde
prawidło dziełanie. W działaniu dla
dobrych ludzi gubią się wszelkie dramaty
i trudności osobiste.

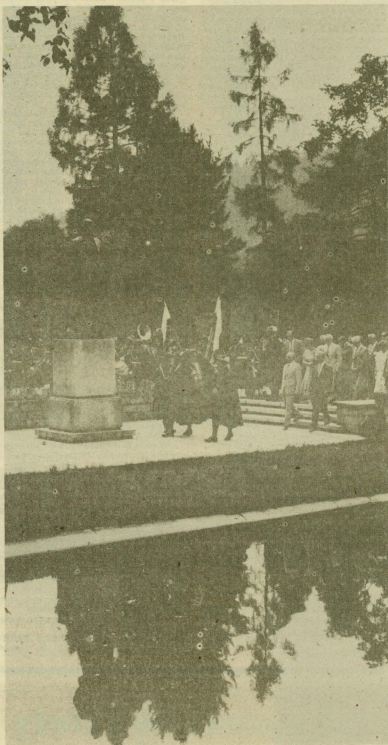
Na pożegnanie oglądam projekt herbu
Kamiannej, którego pierwowzór pocho-
dzi z 1585 roku i jest dziełem zakonu
filipinów: trzy gwiazdy nad płonącym
sercem, wokół – jakby na warcie – dwie zło-
te pszczoły.

Ze wszystkim, co tutaj widziałem, pięk-
nie współbrzmia napis wyryty na medale
imienia Stanisława Staszica (przynajmniej
księdzda Ostachowi w 1982 roku). Nauki i
umiejętności dopiero stają się użytecz-
nymi, gdy są używane w praktyce do użytku
publicznego siołowane.

JERZY LEŚNIAK

DUKAT 5

Gorbaczow



Widziane w Poroninie

Lekka mgła przesłania Tatry. Upłynie jeszcze sporo czasu, zanim pojawi się kolumna samochodów i Michail Gorbaczow wejdzie do góralskiego domu, w którym znalazł przed laty schronienie rosyjski emigrant, Włodzimierz Ułjanow. W Białym Dunajcu czeka kapela, fotoreporterzy, kamery telewizyjne. W Poroninie — kompania hoprowa i orkiestra reprezentacyjna Wojsk Ochrony Pogranicza, para młodych artystów z zespołu „Harnasie”, którzy wręczą gościom kapelusze z muszelkami, ciupagę, kierzec, chustę góralską i spinki. W tłumie wiele osób z książką Gorbaczowa o przebudowie i nowym myśleniu.

Wczoraj obejrzelśmy w telewizji, jak witali gościa warszawiacy. Czy podobnie będzie tutaj?

Przy lipcowe słońce. Kto ma kartę wstępu, przechodzi bramę i chroni się w cieniu drzew okalających

pomnik Włodzimierza Lenina. Wczasowicze z różnych stron kraju zgromadzili się na zewnątrz, młodzi obiedli krawężniki. Po trzech godzinach asfalt zmiękła, ale nikt nie odchodził. Scenariusz wizyty zakłada, że po przyjeździe gość uda się w stronę bramy, a więc zostanie za plecami te całą gromadę ludzi oczekujących w skwarze. Oni są chyba innego zdania, skoro wytrwale czekają. Wreszcie podjeżdżają czarne „zily” i „czajki”, obstawa kieruje się już w naszą stronę, gdy nagle ulica eksploduje radosnym gwarem. Gorbaczow, nie bacząc na szefa protokołu dyplomatycznego i osoby towarzyszące, zwraca się ku młodym. Wyczuł spontaniczność tamtej gromady i wdaje się w rozmowę. Rezolutny maluch chciałby mieć wspólne zdjęcie z Gorbaczowem i Jaruzelskim. Prośba zostaje uwzględniona przez fotoreporterów. Ale chłopaka to nie satysfakcjonuje. — Chwilczkę — powiada. — Proszę poutężyć to zdjęcie

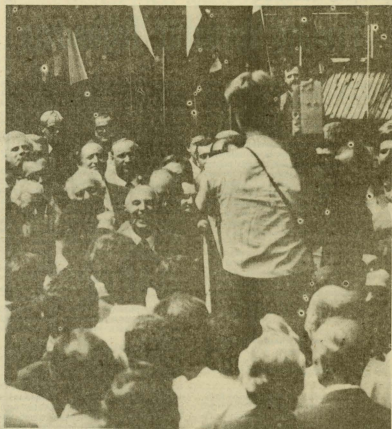
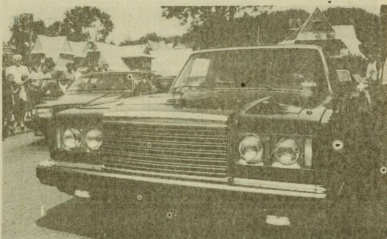
z mojego aparatu! — Przy pożegnaniu oświadcza rozbawionym gościom, że prześle im na pamiątkę swoją fotografię.

— *Lap tego malucha* — mówi Józef Brożek — będziesz miał interesujący materiał dla „Dunajca”. — Ale Służby porządkowe uformowały już swe szyki i nie udaje mi się przedostać na drugą stronę ulicy. Nie zdolał się też wywieźć, dlaczego część publiczności skanduje: — *Raisa/Raisa!* Sprawę wyjaśni wieczorem red. Artur Bober: dziewczynka chciała wręczyć gościom kwiaty, nie udało się, bo tłum zagroził jej drogę. Gorbaczowie usłyszeli głośny płacz, zawrócili i gdy się zorientowali w czym rzecz, małżonka sekretarza generalnego podarowała małej bransoletkę. Widzowie skwitowali ten gest właśnie skandowaniem imienia pani Gorbaczow.

A swoją drogą wiele wody musiało upłynąć w polskich i rosyjskich rzekach, dużo się musiało zmienić po obu stronach granicy — aby radziecki przywódca mógł doświadczyć takiej serdeczności na polskich ulicach.

Pomaga mu bezpośredni sposób bycia, umiejętność nawiązywania kontaktów ze zwykłymi ludźmi, pogodę usposobienie. Ale te osobiste cechy nie przełamaly by lodów, gdyby wpięć nie dowiódł, że jest politykiem

na Podhalu



Zdjęcia: INTERPRESS I JULIUSZ JARONCZYK

wielkiego formatu. W rokowaniach z Amerykanami, w nakreśleniu nowych perspektyw dla swego kraju — zaskoczył świat odwagą, szerokością horyzontów umysłowych i wyobraźnią wolną od dogmatów.

Promieniując energią, jasno wykladał swe racje, równie dojrzałe czuje się na trybunie jak i w małym gronie słuchaczy. — Ma miły uśmiech, ale też i stalowy uścis — powiedział przed trzema laty Andriej Gromyko rekomendując Gorbaczowa na stanowisko sekretarza generalnego KPZR. Uśmiechem rzeczywiście zjednuje ludzi. Zaś nadzwyczajnej siły tego 57-latkę możemy się tylko domyślać — dyktuje niesamowite tempo pracy, w ciągu trzech lat był w wielu krajach, podejmował bez lęku najtrudniejsze problemy. Ma zdumiewającą kondycję, cały czas trzyma rękę na pulsie zdarzeń, z łatwością przechodzi z jednego tematu na drugi, po wyczerpującym dniu na Podhalu z ogromnym temperamentem wygłosi przemówienie na Wawelu i będzie jeszcze zupełnie świeży, gdy wyjdzie późnym wieczorem na scenę, by podziękować dzieciom za „Order Uśmiechu”.

Przed wszystkim ujmuje ludzi pogodą ducha. Wszedł na dziedziniec Muzeum Lenina, objął nas wzrokiem, uśmiechnął się, i w sekundzie — milczący dotąd tłum — ożył. Podobnie było przed chwilą w Białym

Dunajcu, gdzie przywitano go chlebem i solą, góralską nutą i serdecznym słowem.

Jakież różni się on od tych „drewnianych” mówców, dukających wciąż z kartki stare komunały! Nie dziwiła, że z taką łatwością podbija serca. Ludzie znakieni autentycznej rozmowy, wyczuwają w lot, kto się do nich miźrzy — a kto otwiera siebie na oścież.

Przeczytałem niedawno w radzieckiej prasie trafną uwagę: kto raz zobaczył żyrafę, z niczym jej nie pomyli. Kto posmakował głośności i pieriestroki, nie da się utłoczyć w stare schematy.

Na Podhalu Gorbaczow pokazał się jako utalentowany reprezentant bratniego narodu, wiele sympatyczny człowiek, obdarzony wyjątkową zdolnością pozyskiwania słuchaczy. Swoim zachowaniem wysoko wywinął poprzeczkę wymagań, jakie stawiać teraz będziemy innym ludziom występującym na scenie politycznej.

W programie oficjalnej wizyty sekretarza generalnego KPZR znalazł się czas na to, by złożyć do Białego Dunajca i Poronina. Odwiedzenie miejsc leninowskich, leżących, na południowych rubieżach Rzeczypospolitej, na wymiar symbolu. Najwidoczniej taka była wola naszego gościa, o przypadku nie może być mowy.

Zresztą wieczorem na Wawelu powiedział wyraźnie: **Zwracam się do Lenina, dokonując własnej przebudowy. Z jego myślami i czynami porównujemy własne obecne decyzje i czyny (...)** Dziele się z Wami myślami, które przyszły mi do głowy w Poroninie (...) **Pierwsza** — że dojrzywanie w społeczeństwie obiektywnych warunków do postępowania w tym czy innym kierunku samo z siebie nie wystarcza do sukcesu. Ogromne znaczenie ma zdolność do politycznych do trafnego zrozumienia sytuacji, nakreślenia konkretnego planu działania i wystąpienia z nim bez lęku.

Druga — że żadne wielkie przeobrażenia społeczne, rewolucje, reformy, nie dadzą do skutku, jeśli naród tego nie chce i jeśli nie podejmie, jak trzeba działać, aby nie tylko zanegować, odrzucić stare, lecz również tworzyć nowe, budować swój kraj troskliwie i umiejętnie dla dobra wszystkich i każdego.

A na koniec — cytując słowa Wojciecha Jaruzelskiego o pociągach, na które spóźniać się nie wolno — **zyczyl młodym, by nie spóźnili się na pociąg przebudowy i odnowy.**

Ta przestrzega odnosi się wszakże nie tylko do młodych. Wszyscy jesteśmy jej adresatami.

ADAM OGORZAŁEK

do Francji na Festiwal Folklorystyczny. Objechali już kawał świata; byli we Włoszech, Grecji, na Węgrzech (gdzie w 1983 roku zdobyli Grand Prix podczas Festiwalu Folklorystycznych Zespołów Nadnaddunajskich). Wspaniale prezentuje się się „Orawa”, choć kramowa scena dla nich za ciasna i dwie pary musiały zrzęzgnąć z tańca; „tylcy-porki” podrywa widownie, która klaszcze tancerzom do rytmu, niemal zagłuszając kapelę prowadzoną przez młodego prymiste, Eugeniusza Karkoszkę. Życymy im szczęścia we Francji — niech wracają z kolejną nagrodą.

W zwykły dzień „pod wiatrą” również tłoczno. Dziewczęta i chłopcy ćwiczą nowoczesne tańce, wieczorem – próbują sił przy mikrofonach piosenkarze-amatorzy. W „bacówce” ulokowali się plastycy. Przy sztalugach Piotr Piekarski z Mielca, maluje portret koleżanki, Beaty Kurmianiak.

Naszą dwudziestoosobową grupę opiewuje się Adam Popardowski z Nowego Sącza – mówi Piotr. – Ponadto dwóch artystów plastyków ma z nami zajęcia. Jest bardzo fajnie – dorzuca Beata, która jak większość koleżanek z grupy poetów spędza sporo czasu pozując malarzom. – Tylko okropne jedzenie. Zdania są podzielone: Nie jest źle – twierdzą inni – denerwuje nas jedynie zbytnia dyscyplina – ciagle warty, dyżury, apele, choć z drugiej strony to konieczność: jest nas prawie 400 osób.

W namiotach ciasno. Prycze jedna przy drugiej. Nie przeszkadza to młodym, któ-

Trudno sprostać legendzie

[illegible]

W domkach i pawilonach mieszkają instruktorzy oraz kramowi goście. Komendant KRAM-u, wiceprzewodniczący Zarządu Wojewódzkiego ZSPM, Leszek Ratuszynski zapewnia, że w tym roku do Myścisza zjechali najlepiej z młodocianych twórców. Wielu z nich to uczestnicy ogólnopolskich konkursów muzycznych, piosenkarskich, zdobywczy czołowych miejsc. Chcą pracować, doskonalić warsztat, nie tylko odpoczywać. Były kłopoty finansowe, pomogło jednak Ministerstwo Kultury i Sztuki oraz Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego.

[illegible]

Fot. JERZY CEBULA

Stanisław Marusarz

*W górze gwiazdne niebo —
pode mną jasna przepaść*

Nielatwo być człowiekiem-legendą, człowiekiem z twarzą znaną prawie wszystkim, człowiekiem, którego zwycięstwa i przegrany wielokrotnie w całosci lub fragmentach jest materialem na scenariusz sensacyjnego filmu. Ale też niewiele w siedemdziesiątym piątym swoim roku może z równie jasną twarzą patrzeć za siebie i przed siebie, niewiele dane było tak godne spełnienie życia.

Imponujące wyczyny na wielkich skoczniach świata, epopeja kurierska tyle razy znacząca śmiertelnym niebezpieczeństwem, wielkie ryzyka i szalone ucieczki, wymykanie się z rąk tiszowców i Niemców, brawurowy skok z okna więzienia na Montepulichi, 30 lat występów w reprezentacji Polski, 10 tysięcy oddanych skoków, wreszcie miano „Dziadka”, najstarszego wyczynowego narciarza w Polsce — to bardzo wiele. Wiele nawet dla „tytana”.

Za błyskotliwymi tryumfami na skoczniach, brawurową odogą na kurierskim szlaku i fenomenem trwałości fizycznej kondycji — stoi jednak niewyobrażalna praca, ogrom wyrzeczeń i zmagania z własnym ciałem (które dziś czytać z siebie pozwala historię wojennych przeżyć, cenną sportowych zwycięstw), to twarzą natury „góralczyka”, wola jak z żelaza, serce Polaka, charakter niezwykle prawy.

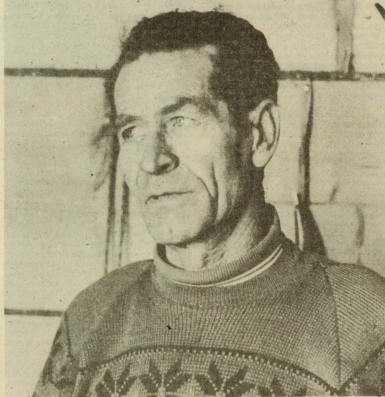
Co w istocie znaczył nadany mu w Lahti przez Norweców, Finów, Szwajców i Niemców tytuł „moralnego mistrza świata”?

Sięgnijmy do wspomnień, do mniej może znanych kart bogatego pamiętnika, poszukajmy ludzkiej twarzy „tytana”.

Gdzieś się to przecież zaczyna. U syna gajowego z domku pod Reglami zaczęło się w siódmej zimy wiosnę:

— Ano ułynosiło się ukradkiem z domu skradzione krzesła, które służyły jako sanki i narty. Organizowaliśmy zawody, kto najdalej zjadzie. Zazwyczaj wybiegało się z domu na bosaka, za to w czapce. Gdy jeden z „zawodników” zjeżdżał na złozonej krześle, inni czekali na górze na swoją kolej, grzejąc sobie tymczasem nogi w... czapce. Krzesło było bardzo zurowne, toteż z trudem utrzymywaliśmy równowagę, nawet siedząc. Do jazdy na „nartach” używano się dwóch krzeseł: trzeba było stanąć w szerokim rozkroku, aby je objąć obiema nogami (...). Najczęściej zwyciężaliśmy na zawodach jak.

Najbardziej (po zabawie w Indian i kopaniu piłki ulubioną „wiewiórczyca” była dla przyszłego skoczka święta zaprawa skrobaczyną. Ale o prawdziwym sprzecz, jakie miały paradujące na Lipkach dzieci przyjeżdżających, mali zakopanie mogli tylko pomarzyć. Własnym przemysłem z drewna na płozy i deszczulek na beczki „wyjadane” narty musiały starczyć 10-letnim wyczynowcom. Pierwsze emocje sportowych zmagani i od razu smak zwycięstwa poznał „Stasek” bardzo wcześnie. Wehłanie rekawów, i nagroda — dowód bezporęnej przekąski nad rówieśnikami w biegu zjedzionym na Lipkach — stały się w domu śladem „przestępstwa” i tak już na długo miało pozostać, albowiem w rodzinie gajowego sport był zdrożnością niewybaczalną, zagrożeniem dla życia, pierwszym krokiem ku kaleki. Wiele lat minie, nim przejdą wreszcie objawy zaniecia z leśnej krzywiaki podglądając profil skoczni, frunącego z progu i osiadającego na zeskoku syna. Początek „drogi po laury” zapisywał się na



Fot. CAF

skórce późniejszego „tytana” mapą sińców i zadrapań, nierzadkie były upadki na głowę, omdlenia przy wstępieniu, a dom rodzinny służył nader rzeczowym dialogów:

— Kaś tom kufe ozbił?
— Ano prasło mnie.
— Jesce se narobił budy!

Nie na wiele się jednak zdadzą życiowe przestrogi, jeśli ktoś wejdzie w cię Wilka, jeśli Skoczni i zapragnie skosztować powietrza nad ziemią. Tak i Stanisław Marusarz nie uszedł swojemu przeznaczeniu. Pierwsza strażnicza wyprawa chłopcu w grabieżnych portkach na szczyt Kasprowego, doświadczenie potęg i majestatu gór, zwioliu, który go sobie teraz przywłaszczać, pierwsze żałosne próby wyjścia z progu na „skoczniach” skłękanych w lesie pod Reglami, podglądanie prawdziwych zawodników na jaworzyńskiej skoczni i potem bolesny „chrzest” z nieklasycznym ładowaniem, omdlenia leżące naprędkę w kuble zimnej wody u lasodni — takie były objawy i skutki pąsji już wtedy nieuleczalnej. Nauczyć się upadać wpróż nim staniemy na wysokości jest właściwą koleją rzeczy.

Zwycięstwo w kategorii juniorów i klasa po zmierzni się z wielką skocznią na Krokwi — obraz życia, w którym sąsiadują ze sobą różne przyrpadki.

Praca, upór, trening, dyscyplina, silna wola — recepta na sukces, zdawało się, najprostszą, a jakie trudna do uskutecznienia. Pewnie starsiowieśka dla niepopędzonych z koniecznością wyrzeczeń. Czy w sporcie można się zatracić, skoczni zaprzędać duszę?

Rekordy sypiające się jak z rękawa, triumfalne powroty z zagranicy, rywalizacja 17-letnia z seniorami, próba sła z ekstraklasą świata — dowodzą, że można. Ale trzeba nazywać się Marusarz, by w tym zatraceniu pozostać sobą — reprezentantem Polski, który „szlakiem Kolumba” zmierza na zimową olimpiadę w Lake Placid i górami, który wraz z Bronkiem Czechem, Stanisławem Skupniem, kuzynem Andrzejem Marusarzem przeżywa emocje

podróży transatlantykami „France” i notuje w pamięci sytuacje godne kamery, scenki skracze się najprędniejszym chyłmem. Oto na rozkłosanym okrecie kuzyn Andrzej zwinięty w kłębek usadowił się w pierścieniu liny okrętowej i przyskaka solennie, że już nigdy nie popłynie; Zdzisłota obcuje rudowłosemu kapitanowi 5 złotych za zatrzymanie statku choć na godzinę; Staszek Skupień ratuje się w chorobie morskiej suszonymi słiwkami...

Kiedy po pięciokrotnym podchodzeniu ciemnieją już w oczach ze zmęczenia i nogi odmawiają posłuszeństwa, odzywa się wcześniejsza kontuzja — czy można dać za wygraną? Jakże się granice ryzyka i własnych możliwości? Gdzie kończy się sport a zaczyna hazard?

Skocznia w jugosłowiańskiej Planicy, największa w świecie, 400-metrowej długości „mamut”, taki obiekt potrafi odebrać sen i spokój. Skoczkiwce norwescy w ostatniej chwili wycofują się z zawodów. Stanisław Marusarz ustanawia w drugim skoku rekord świata 87,5 metra. Podrażniona ambicja Norwegów kaže im, by pociągnąć konsekwencje, zadeklarować chęć pobicia tego rekordu. Raidar Andersen frunie na odległość 91 metrów. Polak przywołuje wyzwanie i podchodzi na rozbieg. Skok jest dłuższy od Anderseniowego o 2 metry. Norweg podejmuje jeszcze jedną próbę, osiagając w pięknym locie 94 metry. Tym razem Marusarzowi zamarzył się skok ponad 100-metrowy — idealna konstrukcja planicznego „mamuta” pozwala na taki wyczyn. Piąty w tym dniu skok reprezentanta Polski wyniósł 96 metrów. Andersen nie daje za wygraną — w zarówe, przy marzącym się jeszcze raz wchodzi na rozbieg: po nienagannym stylowo skoku lądaje na odległości 99 metrów od progu.

Marusarz wsłuchuje się w swój organizm. Już nie staje na rozbiegu.

Ojciec „Staska”, wracającego do kraju z trzema pucharami, będzie się potem chełpił przed sąsiadami:

— Ale im pokozł! Twardo beskurcyjo. Co?

Czy „tytana” też dotyka niesprawiedliwość? A może są takie przegrane, które w istocie stają się zwycięstwem?

Rok 1938. Finlandia. Na skoczni olimpijskiej w Lahti stał Stanisław Marusarz — w drugiej serii oddaje skok, długości 67,5 metra. Norwesi sędzią usiłuje skrócić go o metr; spiker po dłuższym targu ogłasza werdykt: 67 metrów. Tak czy owak — zwycięstwo pewne.

Po długim oczekiwaniu na wyniki i głośnym sporze w komisji sędziowskiej zaczyna się wreszcie ceremonia rozdania nagród.

Gdy jako pierwszego wywołano Asbjørna Ruuda — wspomina rzeczywisty zwycięzca — pojłem, że mnie skrzywdzono. Przeżalem na trybunie sędziowskiej. Sala była wyraźnie zaskoczona. Przyjął niesłuszny werdykt demagogicznym milczeniem. Ruud podniósł się z ociąganiem z miejsca i przez dłuższą chwilę stał niedziedzicowany, jakby się namyślał, czy ma podjąć naprędkę (...). Podchodził do mnie z gratulacjami Norwegowie, Finowie, Szwajcarzy, Niemcy. Wszyscy zgodnie utrzymywali, że jestem moralnym mistrzem świata. Sala skandowała moje nazwisko (...). Opuściłem Finlandię wywołując zaszczytny tytuł wicemistrza świata w skokach. W Lahti odniosłem bezprzebieżnie swój największy sukces życiowy...

Śmierć. Przyszło się z jej objęć wyłukać wielokrotnie. Różne też miały być. Na przelęczy Szipiglasowej w pięknym marcu dzień zaczął się pod zwałem śniegu i lawina ruszyła na smialka. Człowiek bez nart, kół mniej sprawny, o słabszym refleksie — nie miałby w faldującym się już śnieżnym polu żadnych szans — starczył jedno potknięcie, upadek... Ta górska śmierć posta miała jednak powabną:

Gdy później wspominałem moją przygodę (choćby zakrawało to na bliźniętowo) myślałem o niej jako o jakimś przyjemnym przeżyciu. Dostarczyła mi nieznanego dotąd emocji.

Ala ta wojenna wyścignęła ręce po Helenę, nie odpowiadając na krok tatrzańskogo kuriera, kryła się w placówkach tiszowców i włóczyła z żołnierzami grenzschutzu po lesie, odwiedzając kurierskie nieliny po tej i no samej stronie Tatr, wybierała sobie ofary w wienizach Mużyny, Sącza, w zakopanikim „Palace”, w Krakowie na Montepulichi (wojenna epopeja Stanisława Marusarza to bodaj najbardziej znany rozdział jego życia). Tylko że przeciw śmierci była wtedy nadzieja:

(...) miałem głębokę wewnętrzną przekonanie, że nie zgine od niemieckiej kuli. Dziwne uczucie, którego nigdy nie zapomnę. To było coś więcej niż iskierka nadziei, że nastąpią wydarzenia, które wybaczą mi z ożrepi.

Podobnie można przemóc ból i słabość ciała:

Gdy zawodnik staje na rozbiegu — zapomina o uszytkim, nawet o ból, taki już ma ulok skoczni — wspomina Stanisław Marusarz swój skok ze złamanym barkiem. Skok ustany i długi.

A śnieg? Jednym się zdaje biały, innym niebieski. Jeszcze innym gra kolorami tęczy. Czy polskiego skoczka urzędu kiedyś śnieg w Garmisch Partenkirchen:

Snąłem jakąś oszumieloną rozbiegiem, by po kilku sekundach z powodzi światła skończył w czerni nóg. Lot jak tu bajkę. W górze gwiazdne niebo — pode mną jasna przepaść. W świetle reflektorów krzastali śniegu jaśniały mocnym blaskiem (...). To był najpiękniejszy śnieg, jaki kiedykolwiek widziałem.

Gwiazdne niebo nad głową nie przemija, choć śniegi są niedysięsne.

ANNA SZPIŃSKA

Lipiec '88

List otwarty

Do ZBIGNIEWA SIATKOWSKIEGO autora
książki „Człowiek do człowieka” („Dunajec”
z 29 maja 1988 r.).

Szanowny Panie! Najpierw proszę przyjąć ode mnie serdeczne pozdrowienia i wyrazić głębokiego szacunku. Pragnę zauważyć, że Pańskie rozważania o przyjacieli poety Jerzego Harasymowicza z Lemkami w oparciu o teksty literackie dwu zaprzyjaźnionych autorów — ludzi, godnie są najwyższej uwagi i uznania. Takie jest moje odczucie, oparte na wierze o dobrych Pana intencjach. Wybrał Pan znakomitą — wybredną — płaszczyznę pojednania, tak mocno dawnej, w sposób naturalny zaprzyjaźnionych ludzi — Lemków z Harasymowiczem, polskim poetą, piszącym także zezłymi — wierze o Lemkach i Lemkowiczynie.

W szerszym aspekcie — akcentuję to Pan — o poprawie bardzo (w historycznym przekroju) współzyciu ludności lemkońskiej z Polakami można by napisać krągę księgę i powinniśmy to zrobić. Działło się to trochę z natury rzeczy, gdyż Lemkowie zawsze byli bezdumni i nadal pozostają w sytuacji słabych, skazani na łaskę i niełaskę silnych. Doprowadzeni do rozpaczy, prosili powojennie władze Polski Ludowej o stworzenie dla nich rezerwatu dla ochrony przed całkowitą, przymusową przemoc, co to ukrywać w „białej izbie”, asymilacja.

Nieco inaczej, choć podobnie, ma się rzecz między Pawłem Stefanowskim, czy Pawłem Stefanowskim (Pańskie spostrzeżenie — brzmienie mojego nazwiska po polsku i po ukraińsku), a Jerzym Harasymowiczem — sławnym poetą także wśród Lemków i, choć o mieszanej krwi, jak mówi sam poeta, Polakiem, piszącym wyłącznie po polsku. Ja zaś, ledwie

dostrzeżony, urodziłem się Rusinem (a więc w nowym nazewnictwie — Ukraińcem) na ziemi pradziadów, którzy tak gazdowali i trzymali się w jego przez wieki wielkich i małych zawieruch, że stworzyli specyficzny region, o własnych osobliwościach kulturowych, jakie drżi widocznie wzbogacający ogólnopolską kulturę (mimo wszystko, z własną nazwą Lemkowie — Lemkowiczynie. (Mowa tu o Lemkach po północnej stronie Karpat, bo są też po ich południowej stronie — w Słowacji). Nic już tu nie trzeba dodawać ani umiować, jaki ja jestem i jaki powinienem być, skoro wyrosłem z korzenia kulturowego karpacczych Rusinów — Ukraińców.

Nie widzę najmniejszych powodów, w aspekcie poszanowania obu narodów, a już żadnych przeszkód z Pańskiego ogólnoludzkiego punktu widzenia (jak „Człowiek do człowieka”), byśmy zaniechali z trudem odbudowywanej przyjaźni, o czym, z wielką troską o przyszłość obu naszych narodów (co ciężej może i ręką wielkie nadzieje) napisał Prymas Polski, Kardynał Józef Glemp w „Przeglądzie Katolickim” (nr 44, 1 listopada 1987 r.) przed tysiącletnim chrztu Rusi.

Patrzmy w przyszłość z ufnością na jedność i nośności. Kultura bowiem jest ogólnoludzka, w szerszym znaczeniu tego słowa — i moja, lemkońska, czy wasza polska w jej kulturowych detalach, niuansach. Dziękuję Panu za miłe i mądre sprowokowanie mnie do zareagowania ze starą przyjaźnią i współczesną wyrozumiałością Lemka w Polsce na potrzebę kontynuowania dobrego współzycia „małych z wielkimi, mocnych ze słabymi” w imię ogólnoludzkich wartości, z poszanowaniem i życzliwością człowieka do człowieka. Z poważaniem

PAWEŁ STEFANOWSKI

Zbigniew Siatkowski

Do Lemka b o tym, jak żć razem

Skoro Paweł Stefanowski swój list do mnie zechciał, ukazać listem otwartym, to i ja na jego serdeczne słowa odpowiem w druku. Bo o problemach, które ten list porusza, trzeba w Polsce, w Małopolsce, na Lemkowiczynie mówić publicznie i pełnym głosem. Jeżeli mamy z sobą po ludzku żyć. Wszyscy, którzy mieszkają tutaj.

Nie tylko za przyjaźni, ciepły ton listu dziękuję lemkońskiemu poecie. Bardziej za to jeszcze, bez czego niemożliwy byłby jakkolwiek poważny dialog: za to, iż Paweł Stefanowski od początku dialogowania przyjął, że jego rozmówca ma dobre intencje. Takie to elementarne — wierzyć w partnera i wierzyć partnerowi; a czasem tak trudne do osiągnięcia. Ie razy na tym właśnie potknęliśmy się, na nieufności przedświeptej. My jedni i my drudzy. Dawno i niedawno. Ot, wstachali by się w uroczę przysłówie, o tyle długowieczność, że jeszcze i Bohdanowi Chmielnickiemu w użyciu mogło spaść: „Z Rusinem gadaj, a w zanadrze kamień”. Kwiatusek jadłowity, bielutki z polskiego pola. Wiem również — a i Paweł Stefanowski wie — co z kolei opuszkiano „pro Lachów”, jakie kwiatki wyrażały po ruskiej stronie wydrukujących naszych miecz. Aż za bardzo podobne. Gwałt zwykle się gwałtem odciśka i z reguły próżno po czasie dociekać, kto zawiął pierwszy, a kto tylko uniósł się szusznym odwetem. Próżno dlatego również, że tyk naprawdę żaden odwet nie może być szusznym.

Nieroztropne więc jest uzależniać zbyt wiele od rozstrzygnięcia kwestii, co to konkretnie uwa przedstawia nieufność powoduje. Nawet wtedy, gdy powod jest boleśnie realny; gdy stokrrotnie wydaje się, iż jawny brak szlachetności naszego partnera krzyczy o pomście do uczyników niebios. Nawet wtedy wady zdobyć się na zaufanie, wręcz aż przysiąc się do zaufania. Co znaczy także — do wielokrotności. Władysław Braniecki pięknie o tym napisał kiedyś; a sam dawał się wówczas bólem i zalem, upokorzeniem nie zawinowawszy: i nie rzucam na siebie przekleństwa, tylko rzucam przed siebie wierz.

Jerzy Masior

Ona jedna tu została

(Pamięci cerkwi w Kamiannej
pod wezwaniem św. Paraskewy)

Po swej cerkwi
po ugorze
pasie owce
ta Starucha
— świętość
do podłoka chowa
Ona jedna
tu została
ona jedna jeszcze
wierzy
krzyże w lesie
pochowała

Ona jedna
z jarzby
nie korale ma
leczyć ży
Wymy drażni opłakuje
świątym znakiem
w sadzie tkwi
Wymy cerkiew
wonny zieleń
okadzi
przepędzi
Po konarach
jak zwątpienie
— ikone
rozwiśli

Teraz w strzepach
złociści
czy jesienią
w każdej chmurze
w ludzkich sercach
w dloniach-sepach
coś zostało
jakieś smętki
jakiś cierni
najdłuższy róz

Po swej cerkwi
po ugorze
po rozstajach
modrzewiowych
Świąta Pani
bizantyjski
drażni święte
jeszcze zbierze
choćby blaski po prazdnikach
choćby wiary okruszyn...
Po rozstajach
wciąż muzyka
— „jeszcze wierze”
Pasie owce —
stado białe
bo zbuntowały
gonty chramu
po go gontach
obłok biały
bo modlitwa
piłoun — ziele
gorzyc — wieczność
z jodeł zbiera
do stóp ściele
tę ikone — niedorzeczność
Ona jedna tu została
w macierzance i po sadach
ruskie oczy
wypłakała

W tym właśnie duchu interpretowałem przyjaźnię
wiersze Harasymowicza i Pawła Stefanow-
skiego. Jako mądre inwestowanie we wspólną naszą
przyszłość. Patrzenie daleko przed siebie.

Cóż, szepczuliśmy w końcu miewamy wybór. Albo
wzajemnie w siebie wierzyć, choćby i wbrew samobro-
nnemu odruchowi — albo wzajemnie siebie karać, na
przemiań a wciąż, choćby i w toż samą własną
pryncypialność ponad wszystko.

Wole raczej nadziei niż raczej pomsty.
Gorzkim piłounem pachnie list Pawła Stefanow-
skiego, gdy mówi o tym, jaka sytuacja mają Lemkowie
wśród Polaków. Że ktoś jest silny, ktoś słaby. Nastu-
chałem się ja tym dwóch słów latami — z różnych ust,
w różnych zaplatań. W Bratysławie je słyszałem i na
Łużycach, na Chreszatyku i w ukraińskiej dzielnicy
Litwini o niegodną polską wobec nich przez tyl-
wieków politykę wyznaczenia, ba wręcz ekstermi-
nacji: wobec tak niezliczonego, tak słabego narodu.
A znów od moich rodaków tu czy tam słyszę biadanie,
że stanowimy niestęty naród mały i słaby, dla którego
zagrożeniem jest... — tak dokoła. Siła oraz słabość to
pojęcia widac względne, niejednoznaczne, i nigdy raz
na zawsze grupom bądź narodom nie przydzielone
przez los. Przy czym bynajmniej nie tylko o liczebność
tu chodzi. Z wielu dopiero czynników złoży się diagno-
za.

Witold Gombrowicz twierdził w przedmowie do
Trans-Atlantyku, że Polska, jaka stworzyła warunki
jej historycznego bytowania to Polska słaba. Ma-
żas nasz poeta, Antoni Słonimski, poszedł w analizę
dalej. Kiedyś czasu wojny pomyślał nostalgicznym
wierszem tak:

(CIAĞ DALSZY NA STR. 23 BIAŁEJ IZBY)

Spacerkiem po historii

Do Łemka o tym, jak żyć razem

(CIĄG DALSZY ZE STR. 1 BIAŁEJ IZBY)

Ja pragnę Polski słabej, lecz na tym świecie,
Gdzie słabość nie jest winą, gdzie już nie ma warty,
Rygować w bram i noć dom bywa otwartą,
Gdzie dłoń nie utrudzona okrutnym żelazem
I gdzie granica utożsamia tylko drogocenne kamyki.

Mozna więc być słabym słabością pokoi milujących,
rozbrajających się po dobrej woli — i taka słabość to
sila. Godzi się pragnąć jej dla swego narodu. Słoniński
nie dał się odewać od ziemi. Bo to jest ich ziemia —
ów upór przeszedł, że coraz pewniej ich. Coraz zarliwiej.
Nawet wówczas odłączył się od matki ziemi
naprawdę nie pozwolili, gdy im zbурzyła życie twar-
da

wojenna dola, gdy przemocą zmiołła ich z bezskładkich
ścięć i rozsyłała na dalekie strony — od jezior mazur-
skich po Wielkie Jeziora Kanadyjskie.

Rzecz nie tylko w tym, iż na powrót — kto może —
starał się zamieszkać w rodzinnych górach. Wspólnie
się wiewiędzą dżiś pokolenia Łemkowie ocaila nostalgia.
Łemkowie znają jej konstruktywizm, umacniając
wartość. Wiedzą jak żyć w diasporze, a jednak nie
przeistą być sobą. Stąd te ich liczne przyjaciół (czasem
już nie przyjaciół, tylko wprost pierzgniętych) do wiosek
praprzodków, do wspomnień — ale nie przez nie-
czymś. Stąd — Koraz wyżej buchający doroczny
płomień łemkowski warty, który cieszy każdego
przewrotnego człowieka i czyni go solidarnym. Bo
świat wtedy zasłuchiwał na miano światła ludzkiego, gdy
każdy człowiek będzie tym, czym chce być; a kto
zechce być Łemkiem, będzie Łemkiem i nikt od
wnętrza nie będzie go ponad jego wolę i rozum pouczal.

Z dwu wypuszczonych ostatnio przez Wydawnictwo
PTTK „Kraj” żakopińskich książek dra Macieja Pink-
warta, jedna już „wyśzła” z księgarni, druga dopiero
zjawia się swoje pojawienie się w wityrnych.

Pierwsza to współz z żoną, Lidą Długoleką, pisany
„Przewodnik historyczny” — rzec dyedkowna ży-
wym przewodnikiem — Henryka Długoleki, Zofii Wi-
toldowej Paryskim, ludziom, którzy swoją zyciowość
i kompetencją, nieprzebraną wiedzą, materiałem gzo-
romadnym w prywatnych archiwach wspierali, inspi-
rowali niejedną i tatrzańską podjętą. W tym „Prze-
wodniku”, „Żakopane. Przewodnik historyczny” — książka,
która ponoć z mieszanymi uczuciami witało żakopińskie
środowisko — to nie tylko baśdeker z mapą
pokreślona kolorowymi nakładami, spisem wspaniałych
adresów i czestokroć mało ambitnym tekstem. Elegancko,
z piętym wydaniem „Przewodnik” swoje powin-
ności spełnia z nawiązką (jest i mapa), ale oprócz tego
bierze na siebie wiele różnorodnych funkcji. Przede-
wszystkim odkrywa i wypełnia lukę powstałą z braku
literatury dla zwykłych żądających chleba przybywają-
cych pod Giewont: osób starszych, rekonwalescentów,
rodzin i dzieciom, wczasowiczów poddanych wypoczyn-
kowemu reżimowi, także taterników uzimionych
w mieście, „żakopińska pogoda” — staje się atrakcyjną
kontrpropozycją dla stałego predestynacji Karpów-
kie i okupowania kawiarnianych stołków. Po-
drugie — daje w swojej i części zwarty wykład historii
Żakopan, począwszy od położenia i etymologii na-
zwy, skończywszy na latach osiemdziesiątych obecne-
go stalecia i stosunku żakopian do reformy adminis-
tracyjnej. W 24-stronicowym, zdyscyplinowanym wy-
kładzie znalazło się jednak miejsce na kontrowersje,
weryfikowanie obiegowych sądów, zastępowanie mitów,
fałszywych uogólnień. Przydany jest czytelny frag-
ment o ulicach nie tylko zarysujące dzieje starszych
i nowszych traktów, także uprzedza spacerowiczów
o „konunktualnych” zmianach nazw i chaosie nume-
rycznym z jego osobliwościami. „Polska” —
Kto ciekaw, jakie kryteria przysądzą o byciu górami i
tu takich można naliczyć w stoicy Tatr, kto ciekaw
historii i znaczenia słowa „ceper”, subtelnych różnic
między „nomen” i „nomen” — wyjaśnienie znajdzie
także w części II „Przewodnika”.

Dziesięć dłuższych i krótszych tras wyciecznych tak,
by wędrówka każda z nich nie trwała dłużej niż
3 godziny, a braty początek z Karpów i wracali na-
ten „najmniejszy deptak środkowej Europy” — to
konstrukcyjny szkielec, na tyle zgrabny i nosny, by
wykonany nacisk bogatej historycznej materii. Tu
dopiero pojawiają się wielokrotne „Przewodni-
ka”. Okazuje się on przebiegać książką z obrazkami
— obiekty fotografowane przez współautorów, zdjęcia
wydobyte z różnych archiwów, reprodukcje — czynią
spisywanie w ciągłym ruchu dzieje ponętami dla oka,
podawając przyswajalnymi dla pamięci. Dziecięto pomie-
szanych zyciorom (mają je także ulice, domy,
szkoły, towarzystwa, instytucje) staje się „Przewod-
nik” również słownikiem biograficznym — oczywiście
selektywnym i skróconym. Dowiadujemy się z kart
książki, jak sobie radził pierwszy żakopiński listino-
sowiec, Kuba Gasienica Kłoryk — analfabeta i niezawo-
ny doręczyciel, dlaczego osiedli przy doktorze Cha-
lubirskim na postumencie Sabala tak dziwnie układła
palcę prawej ręki, jak zwie się przestrzena rzeźba
obok Urzędu Miejskiego, która kapliczka służyła góral-
kom za „magazyn pod opieką boską”. „Przewodnik”
jest i zbiorem anegdot. Tam, gdzie opisane są np. walki
żołnatników Kacki, wdowy po ostatnim zbójniku, Wojtu
Matei — czyta się „Przewodnik” jak historyczny
kryminał. Ważniejsze adresy i telefony, skrupulatnie
zestawiony indeks nazw, nazwisk, spis lektur uzupeł-
niających — czynią tę książkę informatorem bardzo
przydatnym, lekkośmownym w Żakopanie, jego
dziś — i minie dziesięć.

Tylko dla miłośników zwanego monopolu PTTK-owska
publikacja może oznaczać złamanie monopolu — sytu-
acja, w której byle „ceper” żakopiński, „zagina-
nia” swego cionerze przy pomocy nabytych książek —
dla zwykłego przewodnika pożądaną raczej nie jest.
No cóż...

Druga książka to owoc zwariatek żo (po Karolu
Szymankim, Mariuszu Żurawskim i Mieczysławie
Karłowiczu) wycieczki żakopińskim szlakiem wiel-
kich ludzi, zapis przegranej, jak się stało obcowanie
ze sładami życia i działalności obu Eljaszów-Radzikow-
skich i jednego i drugo syna Stanisława.

I ta praca wokół wskrzeszenia postaci wielce dla
Żakopana zasłużonych, a dynamicznych, niepokoj-
nych, wszechstronnych i niejednoznacznych w swoim
życiu twórców, Karłowiczów — w tym znanego z Wi-
toldów Paryskiemu, który w swoich studenckich
zaczach stał się powiewnikiem myśli, spadkobiercą tatrzań-
skich pasji i przyjaciелеm ostatnich lat starzejącego się
samotnego w Krakowie Stanisława Eljasza.

Walerij Eljasz, syn krakowskiego malarza, ponoć
wnuk konfederata barskiego Stanisława Radzikow-
skiego z przydomkiem herbownym Ogóńczyk, to cała

(CIĄG DALSZY NA STR. 4 BIAŁEJ IZBY)

Pracownicy



Anna Szopińska

Dziedzictwo

O woli „Cichej” — cudownej chalupie przy Kościel-
skiej drodze, „Cichej” utopionej łące w zielonych
pnącach i kwiatowych kielichach, „Cichej”, w którą
Karol Kłosowski — nestor żakopińskich artystów, na-
uczyciel szkoły noszącej dziś imię Kenara, a potem
w Szkole Korkonarskiej — wbudował, wrzucił swoje
marzenia o góralskiej świątyni sztuki — napisano już
wszystko. Tu każda rzecz — od bramy, przez psią bu-
dę w kształcie góralskiej chatki, rzeźbioną półkę na listy
i gazety, starodawne szafki z budką w oberszej ro-
sieni — nosi ślad troskliwej, pilnej ręki, zdradza zdziw-
niecy talent. W wie, czy duchy niedogiętych gości
domostwa Gasieniców-Sobczaków: Odryna, Marii Kło-
sowskiej, brata Alberta, Kasprzaka — nie nawidza-
ją czasem tego uroklivego miejsca?

„Cicha” okazała się za cienna dla wnuków „profeso-
ra”. Zgymnowali przyszły już malować bagienne
rozlewnie Mędry. W wili przy Kościelnej, w której
Bromisław Kłosowski — syn Karola Kłosowskiego a
ojciec Zygmunta wraz z siostrą Helena, żoną i córką,
Przeżywały kilka lat temu o malarzu Balhuse,
którego płótna osiągały na światowych aukcjach za
wrotne ceny, czyli o Baltazarze Kłosowskim de Rolla
— postanowili Bromisław Kłosowski dowiedzieć się, kto
zaczęł ową wielką tego samego herbu i nazwiska. Od
korespondencji z rezydującym pod Lozanną Balhu-
sem zaczęło się żmudne szukanie powinowactw, docie-
ranie do pnia i korzeni genealogicznego drzewa.

W parnie od nadchodzącej „złoty” popołudnie, na
prezencymionym w kawiarni pracowni strychu szu-
kaczyna Bromisław Kłosowski swą opowieść o rodzi-
nie, sztuce i dżiwności ludzkiego wyobczyła.

Przez tego Balhuse zaczęłam studiować historię
rodziny. Niektóre rzeczy ojciec mi jeszcze poumiedził,
trochę wiadomości przyszył stryjczy brat z Londy-
nu — poeta piszący pod pseudonimem Niemowski.

Medzy Górzem Wiskopolskim a Poznaniem, w
północie drogi, jakieś 11 kilometrów od Warty, je-
zioro Kłosowski. Stamtąd ród bierze początek. To
tuż jeszcze w czasach Księstwa Morawskiego. Pierws-
zy herb — Koroje (króje to nie od pługa) Unowski
z czasem popopisał, potem za Kazimierza Włodzy-
cieła zamieniony został na herb Rolla.

Po naporem niekimiem przodkowie zaczęli poma-
tu, pomatu emigrować — przez Wyszogród dostali się

do rejon Warszawy i Podlania. Jeden z nich, początko-
wo kanonik przemyski, był przez jakiś czas biblioteka-
rzem i kronikarzem Stanisława Augusta Poniatow-
skiego — chciał stworzyć nowy program reformy i zwa-
rował na tym łące, ale nie porucił towarzystwa ksiąg,
podał mi jeszcze bibliotekarza Józefa Poniatowskie-
go. „A jeszcze wcześniej brali całą rodziną udział
w elekcji króla Stanisława Augusta i dostali za to
tak przynajmniej przypuszczam — „apowu”, dobra
na Ukrainie. Tak młodzieli się w rejonie Kijowa, Białej
Cerkwi — miejscowości Pohrodzysce. Tatiana Kłoso-
wska z domu Janicka była przepiękną kobietą i kochał
się w niej gubernator Kijowa — ten gubernator o-
ręczył, iż carcyza Kłowska (nieśmiało) została
króla Stanisława, wiedząc, iż wszystkie powstania
biorą początek w dwuorkach szlacheckich — przy
pomocy swoich „podpuszczaczy” nakłania Ukraińców
do napadania na dwór i wyprzeczania Polakom.
Ostrzeżona przez gubernatora rodzina z całym do-
brem uciekla na Podole. Wrócić zostało z tej fami-
li Michał Kłosowski, ojciec mojego ojca — ale już
już nie biegał. Wśród Ukraińców mieszających tam
tako dziedził, ścisła, opieką i nauczyciel był Pola-
kami. Dziedzic Józefowicz dał dziadkom krowę chatę
z nieszytymi mój ojciec. Nauczyciel i ów Józefowicz
dotrzymali i niego, poduczasz chłopca, ogromnie za-
nośności do robienia wycinanek — taka tam była moda,
że panny, które wychowały za młodo, musiały mieć
odrobioną wyminakami, i tego chłopaka (mojego ojca)
w II klasie pouszczepnej szkoły) upopodabiali na
zdobienie domostwa, dokarmiali go u siebie, tym bar-
dziej, że Karol Kłosowski ukrócić został sierotą —
dziadka zabił przebrani za Ukraińców prawdo-
podobnie andarmist austriacki, ponownie, był misar-
szem — grał w orkiestrze na bębnie i nosił w tym
bębnie pazecki.

Nauczyciel z dziedziem umiastali się oju o stypen-
dium i ten sposób, dwunastoletni, trafił do żakopiń-
skiej szkoły — była ona podobna do terenów Galicji, gdzie
uczyli ożymu rybniku i rzeźby. Z ucznia został nauczycielem
w szkole, która dziś nosi imię Kenara, potem przeniósł
go do Szkoły Korkonarskiej. I w Żakopanie pozostał
już na wieki.

Zalamanie strupu maleńkiej pracowni-galerii pokry-
wały misterne ażury ojcowskich wycinanek w koloro-
wym papierze, wycinanek urodzonych z odwiecznej

Tetmajerowie

Adolf Tetmajer wymarzył sobie, że jego synom dane będzie w przyszłości ucieleśnienie młodzieńczych zapalów ojca – wywalczenie niepodległej Polski. Sposób ich do tego od najmłodszych lat. Z drewnianymi dwurami, fachurowi jednak przewzruszonymi przez ramie, wydrwali w leśne ostępy w poszukiwaniu, jak się mawiało – dzikiego zwierza. – *Najpierw dokładna obserwacja. Czytaj!* – dysponował; kaski trwać bez ruchu i mieć na wszystkie czułe bacznie. Później przekazał synom umiejętność tropienia zwierzy. Na pewno *uślików!* – obstawała pani Julia. – *Babkie gadanie!* – irytował się Adolf Tetmajer. – *Zawsze rozpoczyna się od planów śladów! Potem dokonaliśmy się w zasadach topografii. Przecież w miarę praktyczna, choć z uwagi na wyjątkowo niesprzyjające domowe okoliczności strategiczne – w znacznej mierze bardziej teoretyczną maszturę, tak wspaniale, choć tylko fragmentarycznie utrwaloną przez młodszego brata w „Kieszu Piotrze”, noweli w swoim czasie powszechnie znanej, iks razy przekładanej na obce języki, nie wieszeliż czemu po roku 1945 w kraju skazanej na zapomnienie.*

Wreszcie do własnej dyspozycji dostali kucyki, pod warunkiem że strony ojca – samodzielnego i systematycznego dbania o nie, a więc czyszczenia; żywienia, pojenia, a także sprzątania wydzielonej części stajni. Matka do tego dozwalała jedynie zastrzeżenie. – *A jak się dowiem, że któryś chciał was zrzucić, kopnąć, ugrzyść – koniec z uwarciutkami. Przepędź na cztery strony i nigdy tu nie wróć!*

– *Ależ...* – zaledwie zdążył wtąpić pan na Łudźmierzu.

– *Ma być tak, jak powiedziałam – dość popędliwie zawyrokowała jego małżonka, by następnie z samej siebie podmiewać się długo, a szczerze w listach do najbliższych.*

Kiedy koniki zostały już należycie uściżone, wypędzone, niemal ze rozjeżdżone czy też zajeżdżone przez chłopce, ich popisy wymyślił nowe szaleństwo. Niech się mailestwa nie nudzą!!!... *A ty, matko, truchlej ze zgrozy, że skryję sobie karki, głowny poróżbię i kaleski ci już tylko zostaną. Truś się tym, truś – wariatem dociera do mej świadomości – co tam kaleski – mogę mieć dwa groby... Mój Maż, najszczęśliwiej tym rozważony kpi sobie że mnie w żywe oczy... „Dwa groby posiadasz. No dobrze – mogą być dwa, choć według mnie jeden w sam raz starczy, i bardziej elegancko, i tężcy, a nie dzieli”. Wieg jakem, jak mnie znasz, łagodnego uposobienia, jak uścisłki, a całkiem nieokreślony kundel uszarze... „Gdzie ty masz serce, człowieku?!”... „Na miejscu”. „Mój Maż na to... „aleś ty rozum całkiem postradła, niebo!” – Ot, i dojdź tu do ładu.*

Oboje dla syneczków chcieli jak najlepiej i oboje to najlepiej widzieli w krainowo odległych kategoriach. Rosem nie wchodził w grę, więc zrozpaczona matka błagała siostrę, zamężną Zelenką: – *Moja droga, moja miła, moja jedyna – użę to na siebie i wypłaczam – mami Mżozur – niech pomech szaleństwo!*

A tego nikt nie był w stanie dokonać – to raz, a dwa – to nie były żadne szaleństwa, tylko najwyższy posust konnej jazdy, który Adolf Tetmajer posiadał w chłopięcych jeszcze latach i popisywał się nim niemal do późnej starości. Z pełnego galopu gwałtownie przechodził w krótki kłus i na trzy kroki przed upatrzoną miejscem osadzał konia w miejscu. Budził tym podziw wszystkich, oczywiście poza własną żonę. Nie postrządała się z myślą, że umiejętność owych szaleństw przekazuje chłopcom. Po swojemu dobroliwie i cierpliwie, a zapewne i nudnie, przedkładała wszelkie grożące niebezpieczeństwa. Po najdłuższym, jak to powiadała, przemówieniu w odpowiedzi słyszała, znane już sobie na pamięć, zapewnienie: – *Nie było jeszcze takiego Tetmajera, którego koni by poniósł, zrzucił, czy też nie uścisłki. I widocznie było w tym wiele prawdy, bo już wkrótce bliższa i dalsza okolica Łudźmierza podziwiała dwóch szalonych jeźdźców, ojca i syna, jak galopują po podjeździe i zatrzymują konie niemal tuż przed wejściem na ganek.*

Był w tym podzie, nągłym bezruchu – naprawdę wspaniały. Nie skapiano im podziwu. Ojca rozszalała duma. Kładł dłoń na ramieniu pierworoжденного i chępliwie, choć nęj całkiem po prostu, stwierdzał: – *Widziałeś! Moga kreu, kosa z mojej kosi, Mój!*

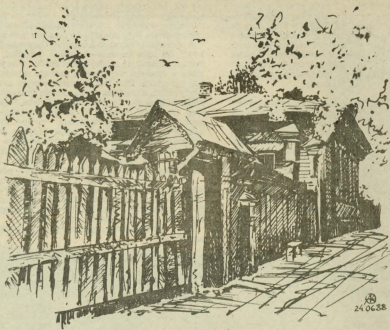
Czy Kazimierz posiadał tę „szaloną” umiejętność? Wyjątkowo trudno decydować. Można się jedynie domyślać, chyba tak. Zapewne z nią właśnie wiązała się wypowiedź Adolfa Tetmajera: *Gręby się nie można dowiedzieć... wtedy piekło uprosi z ochłani uynłoni – wtedy się dokładnie akurat w samym Łudźmierzu, a z piekłem gręby nie godzi się!*

A nie tu, a przedtem, a nie tu, a nie tu – posługując się językiem Julii Tetmajerowej – iakiegoś nowego szaleństwa jej małżonki, który dołożył wszelkich starań, aby w pełni wyrobic w chłopcach samodzielność, swobodę i niezależność, a nie gwałtowne podległe, nieuknikanie zawsze z nią związane, koniecznego ryzyka.

(ciąg dalszy nastąpi)

KRYSTYNA JABŁOŃSKA

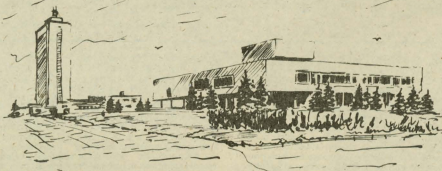
„BIAŁA IZBA” – ukazuje się pod mecenatem Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego.



Stary dom dawnego Symbirśka

Uljanowski

— rysunki Andrzeja B. Krupińskiego



Leninowski Memorial

Spacerkiem po historii

(CIAĞ DALSZY ZE STR. 2 BIAŁEJ IZBY)

epoka dziejów Zakopanego, „jeden z trzech filarów” i w dużej mierze prawnie szybkiego przeproczenia się podgórskiej wioski w renomowane uzdrowisko usychu XIX wieku. Równy zasługami kiejdu Stalarecykowi i doktorowi Chałubińskiemu autor „Ilustrowanego przewodnika do Tatr, Pienin i Szczawnicy”, malarz, wielki miłośnik gór, propagator turystyki tatarskiej, badacz folkloru, obyczajów, nazewnictwa tej ziemi, świadek i współtwórca narodzin pierwszych efemeryd czasopiśmienniczych pod Giewontem – miał jednak pecha i nie doczekał się za życia (ani drugo, drugo potem) przychylności biografów, właścicieli cenny bogatej, rozproszony spuścizny. Nie bez winy była tu jego natura. „Egzyzyczna i wrażliwa, ze skłonnością do planiactwa i monomani”. Antykykerykal zaprzyjaźniony z ks. Stalarecykiem i zdobywcą kosiół i Chocholowie, założyciel wielu towarzystw w opozycji do wszystkiego i wszystkich, niepowodzenia osobowość i „utrapienie rodziny, prześlazoność”, człowiek dużego formatu z kompleksem niższości i niedocenienia – tak go postrzegał i przedstawiał autor, starając się oddać sprawiedliwość człowiekowi i dziełom, naturze trudnej, złotej, ale ambitnej, niepokornej. Maksymalnie zobiektywizowany lecz zryw skrupulatnie dokumetnowany opis służy też optyce, tworzy kontekst Waleriego Eljasza bardzo prawdziwy, rzetelny, wielowymiarowy.

Tak samo potraktowany został Stanisław Eljasz, nieodrodnym syn Waleriego, „drugie wydanie ojca, a więc poprawione”, skłócony z rodzicem i kochający go po swojemu, lekarz klimatyczny i autor znakomitych rozpraw o historii Podhala, dzieła o chocholowskim poruszeniu, poszukiwacz skarbow, erudyta. Uwikłany w nieszczśliwy romans z Ireną Solką, ofara śmieśności, jaka sprawadła na niego realizacja swojej idee fra – Konfederacji Chocholowskiej do walki ożnej o ustalenie (głównie w Tatrach) granic Polski, człowiek wielkiej energii a rozbawiany nerwowo, zagubiony potem w patriotyczno-romantycznym sztafetu własnego pomysłu – odchodził tak jak ojciec, w o-puszczeniu i biedzie.

Dzieje obu tych niespokojnych duchów – naświetlone z różnych stron i pełne paradoksów – są lekturą tyżek frapującą, co skłaniającą do refleksji nad dzwinięciem ludzkich losów, są też historia „serca, która z nadmiaru uczuć nie może znaleźć zaspokojenia”, historia pisana na bogatym tle obyczajowym „pionierskiej epoki”.

Lidia Długolecka, Maciej Pinkwart, Zakopane. Przewodnik historyczny, Wydawnictwo PTTK „Kraj”, Warszawa 1988, str. 320, cena 600 zł.

Maciej Pinkwart, Zakopińskim szlakiem Waleriego i Stanisława Eljaszów, Wydawnictwo PTTK „Kraj”, Warszawa-Kraków 1988, str. 172, cena 380 zł.

Do nawiazania współpracy Nowego Sączu z Narwikiem doszło w roku 1964 z inicjatywą naszego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Niezwłocznie zawarliśmy na tym fakt, że w 1940 roku walczyła o Narwik Samodzielna Brygada Strzelców Podhalaniskich, wchodząca w skład sojusznego korpusu ekspedycyjnego (a wiadomo, że przed wojną Nowy Sącz był siedzibą 1 Pułku Strzelców Podhalaniskich).

W latach 1964-1976 delegacje odbywały się z różną częstotliwością, wzajemne wizyty, rozwijające przyjaźń współpracę. Oboje byliśmy w Narwiku i w Ankenes dwukrotnie: w 1972 i 1975 roku. Pierwszą wizytę składowaliśmy z Mieczysławem Zajacem, ówczesnym dyrektorem oddziału NBP i zarazem zastępcą przewodniczącego MRN. W 1975 roku wyjechaliśmy z mgr. Tadeuszem Warzechą, przewodniczącym MRN. Zostaliśmy włączeni do delegacji Zarządu Głównego ZBoWiD, zaproszonej w 35-letnią walkę o Narwik na uroczyste odsłonięcie pomnika „Polskiego Marynarza” (wzniesionego nad brzegiem fiordu, w którym 4 maja 1940 zatonił od niemieckich bomb lotniczych niszczyciel ORP „Grom”). Na czele delegacji stał komandor Pietraszkiewicz, a w skład jej wchodził poza nami, sekretarz ZBoWiD — Krajewski i trzej kombatanek walk pod Narwikiem: Męysztowski, Walter i Nowacki. Z podróży tej przywoziliśmy dokumenty dotyczącej przekroczenia w dniu 29 maja granicy polarnego.

Jeszcze w młodości Norwegia kojarzyła mi się z ffordami i najcięższymi siłami, które w jej górzystej wybrzeża, z wyprawami statków wielorybnych, stadami reniferów i wspaniałymi narciarzami. Byłem zafascynowany głośnymi wyprawami norweskich badaczy i zdobywców Arktyki — Nansena i Amundsen. Pierwszy z nich, laureat pokojowej nagrody Nobla w roku 1922, zainicjował śmiały wyprawę do Grenlandii na statku „Viking”. Przeszedł on tę wyspę wszerz, by następnie w 1893 roku wyruszyć do bieguna północnego. Natrafili na pole lodowe szedł dalej na nartach, lecz zawiórł z odległości zaledwie 450 km od bieguna.

Pierwszym człowiekiem, który osiągnął biegun południowy był Amundsen. W 1926 roku przeleciał on wraz z Noblem na sterowcu „Norge”, ponownie osiągnął biegun północny, lecz w drodze powrotnej sterowiec uległ katastrofie. Do dziś pamiętam gazety pełne opisów tej wyprawy i przebiegu akcji ratunkowej, w której uczestniczyły ekipy z różnych stron Europy. Akcje ratownicze prowadzono w trudnych warunkach arktycznych, podczas mgieł i zamieci śnieżnych. Na ratunek ruszył też i Amundsen ginąc w katastrofie samolotu podczas przelotu na Spitzberg. Ocalałego Nobla zabrali z jego lodowej samolotu szwedzi, pozostałych zaś rozbitków uratowali radziecki lodolamacz „Krasin”.

Tak więc Nowy Sącz był dla mnie krajem pełnym egzotyki, darzonym równocześnie uczuciami podziwu i szacunku dla jej mieszkańców. Jeśli nie liczyć około 150 tysięcy różnych przybrzeżnych skał i wysepek archi-

Janusz Pieczkowski

Za kołem polarnym

pelagów Lofoty i Vesteralen, Spitzbergu na Arktyce, na Oceanie Lodowatym i w Arktyce, to jest kraj zbliżony powierzchnią do Polski, ale liczący zaledwie 4 miliony mieszkańców, który wydał wazkie ludzi tej miary co Nansen, Amundsen czy Heyerdal (który w 1947 roku na tratwie „Kon-Tiki” przepłynął w 101 dni Pacyfik), sławnych pisarzy, jak Hansun, Undset, Ibsen, matematyków i fizyków, jak Birkeland, Storrer i Vegard oraz odkrywcę żararków trądu — Hansena. Wszakle ludzie, którzy wydali swój wkład do ogólnostanowienia nauk przyrodniczych i wiedzy bytby tak znaczny. A przy tym Norwegia, mimo szczupłych zasobów siły roboczej, stała się rzadką krajem, w którym rolnictwo pod względem gospodarczym. Można by powiedzieć, że nie jest rzeczą trudną osiągnąć 44 ml kilowatogodzin energii elektrycznej w ciągu roku, jeśli ma się takie rzeki, jak Norwegia, ale rzecz w tym, że umiano tutaj wykorzystać naturalne walory i to w maksymalnym stopniu (gdzie 98 proc. energii pochodzi z około 3 tysięcy elektrowni wodnych).

Decydującą rolę odgrywała ludźle, ich osobowość i cechy charakteru. Nikogo w tym kraju przyroda nie rozpęszczała. Wręcz przeciwnie — wymagała odwagi, zdecydowania, wytrwałości, hartu ducha, wielkiej pracowitości i solidności. Środki do życia trzeba było zdobywać w walce z morzem lub skalistą ziemią.

Z takim obrazem Norwegii i życia jej mieszkańców, wyruszyliśmy 3 lipca 1972 roku z Mielkiem Zajacem do tego kraju. Lecieliśmy z Warszawy, przez Kopenhagę do Oslo. Stolica wsiętniła w zakole Lysakerfjord, wyglądała z powietrza niebawale malowniczo. Skupiska przeważnie małych, kolorowych domków są rozrzucone wśród zieleni, tuż nad samą wodą lub na okalających ją wzgórzach. Na lotnisku oczekiwał wysłannik naszej ambasady, Batura. Jadąc samochodem z ciekawością przyglądałmi się liczącej około pół miliona mieszkańców stolicy, która nie przypominała wielkiej metropolii. Nie było tu drapaczy chmur, zgłębił i oku samochodowego. Większość ulic, zwłaszcza w centrum, zabudowana dwupiętrowymi kamienicami. Przechlepsiśmy obok pałacu króla Olafa V, położony w parku i otoczony żelaznym ogrodzeniem mógł być również dobrze siedzibą jakiejś wyższej uczelni, biblioteki czy też innej budowni użyteczności publicznej. Wokół nie było wart, posterunku czy patroli. Jedynie zwisająca z masztu flaga narodowa wskazywała na pobyt króla w swojej siedzibie.

Przyjeżdżając ambasador Ogródnicki dowiedział się, że z punktu widzenia naszej ambasady jest rzeczą pożądaną potwierdzenie dalszych przyjaźniach kontaktów i współpracy z Narwikiem. Mielliśmy zaproponować władzom

Narwiku nadanie jednej z tamtejszych ulic nazwy „Groma” (a w Nowym Sączu — Obrońców Narwiku), zorganizowanie w szkołach średnich odbytu miast olimpiady wiedzy o naszych krajach, nakreślenie krótkometrażowych filmów i wymianie ich na lekcjach geografii. Po zakończeniu rozmowy zostaliśmy zaproszeni przez sekretarza ambasady, pana Sitka, do jego domu na obiad, po czym zwiedziliśmy słynną muzeum skoczni narciarskiej zbudowaną na zalesionej górze nad miastem. Okazało się, że muzeum, w którym obejrzelismy stację (a raczej kuter) „Viking”, na którym w 1882 roku Nansen dotarł do Grenlandii. Po kolacji odwiedziliśmy na lotnisko o godzinie 23 odleciający do Bodo, położonego prawie 200 km od Narwiku.

Lotnisko w Bodo nie zrobiło na nas najlepszego wrażenia. W świetle reflektorów samolot podkładał pod stary, drewniany hangar, który zaadaptowano na „dworzec lotniczy”. Czekaliśmy tu już Arne Meedby, burmistrz Narwiku, którego poznałem w Nowym Sączu, podczas jego wizyty w 1969 roku. Usiedliśmy z Mielkiem Zajacem na tylnym siedzeniu samochodu, pan burmistrz za kierownicą i ruszyliśmy w stronę Narwiku. Nie spałmy całą dobę, więc idąc w ślady Mietka zdziwniejąc się. Nad ranem byliśmy na miejscu. Na granicy miasta miniliśmy monumentalny pomnik budowniczego linii kolejowej łączącej Narwik ze Szwecją i wjechaliśmy w pierwsze zabudowania miasteczka. W większości były to wille i małe domki, w tym wiele drewnianych. W hotelu „Nordstrem” czekaliśmy zarezerwowane pokoje, kapel i kilka godzin nalezającego nam snu. Ustaliśmy z burmistrzem, który z nami w restauracji hotelowej i spotkamy się ponownie w godzinach popołudniowych.

Okolo godziny 16 posłaliśmy w towarzysze przybyłego po nas burmistrza do ratusza. Byliśmy zaskoczeni nie tyle piękną, słoneczną pogodą, co panującą temperaturą: mimo, iż znajdowaliśmy się o 300 kilometrów za kołem polarnym, było tu, chyba ciepło niż u nas o tej porze roku. Po kilku minutach spaceru zobaczyliśmy ratusz, jeden z bardziej okazałych i nowoczesnych budynków w tym mieście. Obok ładnie zagospodarowany utrzymujący skwer z fontanną i rzeką nagłą, kapiejącą się dziesięciny. Tu brała początek główna promenada miasta, Kongens Gait.

W ratuszu czekaliśmy już na nas: poprzeczny burmistrz Narwiku, Marthsen, którego podejmovaliśmy w Nowym Sączu w 1964 roku, szef administracji, Bengtson, oraz radni — Andreassen, Eriden i Martensen. Po oficjalnym powitaniu przez Meedbygo, który wyraził zadowolenie z pomysłu — rozwijającego się współpracy i uznał naszą wizytę za kładzie do osobistego rewanżu za serdeczne przyjęcie, którego

doznał wraz ze swoją żoną podczas wizyty w Nowym Sączu, przesyłaliśmy do omówienia programu naszego pobytu.

W czasie wspólnej kolacji zebraliśmy nieco informacji o naszym mieście. Liczyło ono około 15 tysięcy mieszkańców i było jednym z większych portów, którego roczny przeładunek sięgał 17 milionów ton. Ciepło było tu zaledwie 40 stopni Celsjusza, a w składzie przemysłu: drzewnego, papierniczego, przetwórstwa rybnego i przetwórstwa rud szwedzkiej, dowożonej koleją z Kiruny. Okazało się, że całe miasto i zakłady przemysłowe korzystają wyłącznie z energii elektrycznej i to zarówno dla celów grzewczych, jak i procesów technologicznych.

Z odwiedzającymi Norwegię 4 milionów turystów rocznie, wielu dociera do Narwiku; obsługuje ich 10 hoteli, 2 campingi, 12 restauracji i kawiarni oraz schronisko młodzieżowe. Niebawem przekonałmi się, że Norwegowie uprawiają chętnie turystykę pieszą. W wolną godzinę, gdy wstąpiła instytucja i zaczęła się zamknięcie, rozpoczęli się wyścigi, często całych rodzin, w pobliskie góry.

Muszę wspomnieć, że natrafiliśmy tu na białego jeźdźcę, który wyciągał się w języku niemieckim i to tylko z burmistrzem Meedbym. Ściągnięto więc nazajutrz Polaka (zrezygnowano z niego, gdyż nie było czasu, by go widzieć, religijności i obyczaj nie miały delikwenta, bylniki. Na domiar złego był wybitny i już po paru kilkadziesiąt nie nadawał się do niczego, a tym bardziej do tłumaczenia).

Po powrocie do hotelu miałem trudności z zaśnięciem. Był to okres białych nocy, gdy widmo jest tak, że można bez trudu czytać gazetę. Hotel bez klimatyzacji, w ciągu dnia duszno (bo nagrzewane słońcem w pokoiu dnia skały i fiordy oddawały teraz całe ciepło), trzeba więc było spać przy otwartych oknach, co było dla nas niezwykłym zjawiskiem, jakieś do tego, ale dopiero po wróceniu do kraju.

Gdy zeszliśmy rano z Mietkiem na śniadanie, okazało się, że w restauracji zastawiono stoły ogromny stół zastawiony dziesiątkami różnych potraw. Czego tam nie było? W porcelanowych dzbankach — gorące mleko, kawa i herbata, obok przygotowane gatunki wędlin, serów, ryb i masła na zimno, różne sosy, dzemy, masło i pierogi. W głębiej wale nakryte serwetkami, kawa i herbata, obok ustawione talerze owsiane i ryż na mleku. Każdy podchodził do stołu i bierał na to, co miał ochotę. Koszt śniadania w kalkulacji był w rachunek hotelowy.

Wzięliśmy po kilka plasterków wędliny, ser, masło, dzem, pierogi i kawę na miękko. Wróciliśmy jeszcze po jajka z mlekiem i wtedy mieliśmy, a obok ustawione talerze owsiane i ryż na mleku. Każdy podchodził do stołu i bierał na to, co miał ochotę. Koszt śniadania w kalkulacji był w rachunek hotelowy.

Wzięliśmy po kilka plasterków wędliny, ser, masło, dzem, pierogi i kawę na miękko. Wróciliśmy jeszcze po jajka z mlekiem i wtedy mieliśmy, a obok ustawione talerze owsiane i ryż na mleku. Każdy podchodził do stołu i bierał na to, co miał ochotę. Koszt śniadania w kalkulacji był w rachunek hotelowy.

Mieltek zjadł już 15 lat (był radnym przez kilka kadencji, przez szereg lat też pracował w Zarządzie Aeroklubu Podhalaniskiego). Koleżeńsi, prostopolny, miał duże poczucie humoru. Był przy tym przykładnym mężem i ojcem trzech dorodnych, dorastających dzieci. Teraz odkryłem jego tępy słabości: kochał dobre i duże zjeść, długo spać i zapalał namiętnością do krempliny. Ta ostatnia namiętność wynikała z pragnienia kupienia swoim panom z naszej skromnej dyktacji kilku metrów modnej wówczas tkaniny.

Do śniadania poszliśmy na zakupy. Mieltek kupił wreszcie swoją kremplinę, ja zaś szukałem rekawiczek z renifera. Wydał mi się, że kupię je za brzdru, bo to kilkanaście kroków wsiadał przed sklepami nareczka wyprawionych skór reniferowych, ale rekawic o dziwo nigdzie nie było. Pokazano nam natomiast wspaniałe futra damskie z fok (o pięknej srebrzystej sierści i zawrotnych cenach do 20 tys. koron).

(ciąg dalszy nastąpi)

M-9

K-7295

M-9



Rozmowa z dyrektorem

Bronisław NIEMASZYK – lat 64, pochodzi z rodziny wiertników i poszukiwaczy ropy z Lubuski; podczas okupacji hitlerowskiej żołnierz Armii Ludowej; magister ekonomii, studia podjął w Zakresu organizacji i zarządzania w Radnie, „Glimar” od 1960 roku, od 17 lat dyrektorem naczelny (z przerwą kilkunastu lat, kiedy gorlicka Rafineria administracyjnie włączona do Podkarpackich zakładów Rafineryjnych w Jasle); działacz partyjny, prezes gorlickiego ZBoWiD-u, przewodniczący Głównej Komisji Rewizyjnej Świadczenia Inżynierów i Techników Przemysłu Naftowego i Gazownictwa, odznaczony Orderem Sztandaru Pracy II klasy; hobby – ogrodnictwo i pszczołarstwo; żona Anna, dwie córki: Halina – nauczycielka fizyki i chemii, Wiesława – inżynier w krakowskim Instytucie Technologii Naft.

Prawy Glimaru Piszcie jak jest...

— Gdzie jest najtrudniej? — pytam.
— Idź pan na „wieżyczkę” — mówią bratnie wiejskowie.
Łatwo powiedzieć „idź”. Żeby dojść do oddziału destylacji rurowo-wieżowej trzeba pokonać krętymi drogami ponad kilometr. „Wieżyczka” stoi na jednym ze wzgórz, których na rozległym terenie zakładu nie brakuje. — Jak w Rzymie — śmieją się członkowie straży przemysłowej.
„Wieżyczka” to właściwie trzy wieże w planie rur, dysz, zbiorników, tworzących jakąś niezmierną konstrukcję. W wieży wstępnej z wypompowanej ze zbiorników ropy oddzielana jest na drodze destylacji — benzyna lekka. W wieży atmosferycznej — rozmaite półprodukty: benzyna, paliwo lotnicze, nafta „antyk”, olej napędowy. W wieży próżniowej (opalonej piecem, w którym temperatura dochodzi do 370 stopni Celsjusza) — otrzymywane są już produkty naczelniczej strefy.
— Pracujemy u systemu czerpniogodowym — mówi mistrz oddziału, Stanisław Gniazd, który przeszedł przy „wieżyczce” wszystkie stanowiska, a w Rafinerii zatrudniony jest od 20 lat. — Lubię mam świętych, doświadczonych. Przykładem: pierwszy operator, Bolesław Wojtowicz pracuje tu 23 lata, słusza Eugeniusz Jamro — 30 lat, operator części próżniowej Jan Pieuch — 20 lat, operator części atmosferycznej Mieczysław Leutski — 22 lata, operator pomp i sprężarek Antoni Brach — 15 lat. To starzy wyjadacy, bo tylko tacy mogą wykonać tę niezwykle odpowiedzialną robotę. W grę wchodzi obsługa skomplikowanych urządzeń, ciągły kontakt z żywiołem — „ogniem i parą. Tu jest neutralizacyjny punkt zakładu, proszę sobie wyobrazić, że rok u rok przekraczamy zdolność produkcyjną naszej „wieżyczki” obłożoną na 165 tys. ton produktów naftowych.
Stoimy na utwardzonym placu, który częste „popularem” Słiny wiatr łagodzi słodkawy zapach lub — nazwijmy rzecz po imieniu — odor. Poniżej można się przyczepić. Dobiega dobiega czerstawa, do pracy przychodzi kolejna zmiana. Jako pierwszy melduje się Mieczysław Bolek z Mszanki, w „Glimarze” od 23 lat. Jemu,

jego kolegom — Wojtowiczowi, Pieuchowi, Jamrze, Brachowi, Lewiśkiemu, jeszcze innym, wyjawiam cel swojej wizyty. Zamiast na się w słuch:
— Coś się słyszy, że w „Dunaju” będziemy mieć dwa razy w miesiącu własną kolumnę. Tak jak „Glinik”, nie jesteśmy przecież głusi. Wyrosliśmy ze wspólnej nagi, ale jesteśmy starsi.
Kiedy w latach siedemdziesiątych ukazywał się „Głos Glimaru” to mieliśmy taką wkładkę „Głos Glimaru”. Była czytana, za hej!
Byłeś, redaktorze, nie pisałi tych artykułów pod dyktando i kierowników. Piszcie jak jest: a nie wszystko jest cacy. —
Co na przykład? Żyć wygarnę. Marne zarobki! Aparatury dostaje 112 zł za godzinę, w miesiącu trudno przekroczyć trzydziestkę. A robota nielekką, po nocach, serduśko nawala, w pompowni żar ponad 60 stopni. Nieraz myślę, że nadaję się tylko na rentę inwalidzką.
— Roboty się nie boimy. Ale chcemy się dwoli i troili trzymać na jakieś taryfikatory i bariery, większej zapłaty nie dostaniemy. Mam pretensje o podział premii za wdrożenie do produkcji nowych asortymentów benzyn. Byli tacy, którzy systemie rzadko oglądają, a zagarnęli po parędziesiąt tysięcy, a my od murzynskiej roboty — nie albo gorsze.
— Może to dlatego, że pracujemy na końcu zakładu, daleko tu dyrekcyi, daleko i nam. Przykładu jest rower, który chce do kiosku po wodę mineralną, choć mamy w pobliżu Wysową.
— Pracujemy jak w klerie, ciębie wywrac się na urolo, bo wtedy kolega musi ciągnąć „szesnastkę”.
Chcieliśmy, aby „Sprawy Glimaru” były płaszczyzną, na której ścierały się poglądy załogi i kierownictwa Rafinerii, działających tu organizacji. Nie zawsze są one zbieżne. Inaczej widzi sprawę aparatury, inaczej widzi dyrektor. Wszystko to są sprawy „GLIMARI”. Niech więc mówią ci na dole i ci z góry. Jeżeli będą ścierały się różne opinie, to tylko wskazywać na zdrowie zakładu, przedsiębiorstwa i tej mini-gazecie.

— Proszę o krótkie przedstawienie Zakładu.
Pomimo bogatą tradycję, choć prawdę mówiąc mamy z nią do czynienia na co dzień: niektóre budynki Rafinerii leżą prawie sto lat. W pamiętającej czasach Mac Garveya blednymi czyszczytami teraz opako- wane, w najbliższym czasie mają być u- rzadzeń podobna jednak po wojnie. Pro- dukujemy przede wszystkim etylnę 88- oktanową i — jako jedyni w kraju — pa- liwo lotnicze. Wykazujemy się również we samoloty ładujące na warszawskim Okęcie. Taki samolot „pożera” kilka ton paliwa w ciągu godziny lotu, sądzić więc, że roboty w najbliższym czasie nam nie zabraknie. Było tylko by surowiec...
— Słusznie więc głównie motoryzacji i lotnictwu.
— Ale nie tylko! Wytwarzamy oleje smarowe i do walcowania materiałów lek- kich, asfalty (m.in. niezbędne do produk- cji papy w nasiednin „Matizolu”), parafiny do impregnacji drewna. W naszym wy- kopalisku do zabiegów antykorozyjnych, wo- sków do opon, a nawet — jako również jedyni w kraju — wazelinę dla przemysłu farmaceutycznego.
— Skąd zaopatrujecie się w ropę?
Z wież eksploatowanych złóż podkarpackich, największych nigdyś w Eu- ropie, niestety, obecnie coraz mniej wydaj- nych. Spore dostawy otrzymujemy za pośrednictwem rurociągu „Przyjaźni” ze Związku Radzieckiego.
— Jak wygląda sytuacja finansowa przedsiębiorstwa?
Nieźle. Reforma nam sprzyja. Od pięciu lat zajmujemy drugie miejsce w kraju (za Trzebnią) pod względem dyna- miki produkcji, osiągniętego zysku, zmniejszenia materiałochłonności. Rocznie 200- 300 mln zł możemy przetracać na ro- zwoj zakładu. Zależności są duże: zanieb-

jest infrastruktura, mamy kłopoty z pozyskaniem parę technologiczną. Po- trzeba są obryzmy i właśnie dlatego śro- dki przeznaczone na wynagrodzenia dla pracowników są wciąż niewystarczające. Chcielibyśmy uwolnić się od starego sys- temu plac, ale przełamujemy „urawnio- niki” idzie opornie, indywidualna ocena pracy nie wszędzie znajduje uznanie. Skro- nne zarządzenia nie zawsze skutec- uzołaomą ofertę socjalną; mamy wpa- nialny ośrodek czasowy „Chemic” w Wy- sowej, wysyłamy pracowników nad mo- rzem do Kłobucka, do Olsztyna, do re- aktywowaniu kontaktów z Węgrami. Każde pracownice dziecko może wie- chać na kolonie lub obóz.
— Rafineria nazywa się największym trucielaem w Gorlicku. Słusznie czy nie?
— Oż, cecho przemysłu rafinacyjnego jest na pewno negatywny wpływ na przy- rode. Tak jest na całym świecie, na Wschodzie i Zachodzie. Rzecz w tym, aby ten zły wpływ minimalizować.
— Ostatnio głośno było o nalotach na Wasz zakład przez Wydział Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej Urzędu Wojewódzkiego w Krakowie. Słusznie czy nie?
— Tak, obarczone nas winą za składo- wanie odpadów porafinacyjnych w dołach kwapowych. Trzeba w ciągu paru lat odejść od technologii, od sposobów skła- dowania odpadów, jakie stosowano od stulecia. Kari jeszcze nie zapłaciłmy, odwołaliśmy się bowiem do Komisji Pa- stwa Administracyjnego. Gwoli wyjaśnie- nia powiem, że zaniechanie produkcji np. nafty kosmetycznej, zmusi gospodarkę naroda do wywozu na import tego produktu 20 mln dolarów rocznie.
— Zielone papiery przesłaniają nam żywa śleńca — płuca przyrody.
— Nieprawda. Kolejny się właśnie bu- dowa spalarni odpadów — inwestycję pier- wszej tego typu w kraju, pilotowaną uważnie przez Instytut Chemii Przemys- łowej w Gorlicku. Wzrost produkcji i zu- ży gospodarkę ściekową, zmniejszając nie- czystości oczyszczalni ścieków. Na realiza- cję programu ochrony środowiska wyda- nymy kilkadziesiąt milionów złotych rocznie. Trzeba o tym pamiętać, zanim się zacznie rzucać oskarżenia w naszą stronę. Zleci- śmy opracowanie kilku nowych technolo- gii, odnowienie, odremontowanie i rozbud- owanie stacji oczyszczalni ścieków, woda- nych, co znacznie zmniejsza szkodli- we działanie.
— Czego pan oczekuje od „Spraw Glimaru” w ramach „Dunaju”?
— Najbardziej oczekuję o zakładzie. Może nasze pomysły i rozwiązania zainte- resować pracowników innych przedsię- biorstw w Gorlicku i województwie wo- sadoweckim.

Z naszego regionu

Wstyd, panowie i panie! Do Rafinerii przyjeżdżają goście z firm krajowych i za- granicznych. Przyjeżdżają i patrzy na ba- lagon, śmieci, zawalone drogi zakładowe, rozrzucony złom, jakieś stare konstruk- cje. Zamiast informacji — dezinformacja: ogłoszenia i plakaty są szare, nieczytelne; zamiast estetyki — szpetota. Pewnie, że z względu na specyfikę przedsiębiorstwa nigdy nie będzie w „Glimarze” isinio jak w szpitalu, ale wiele niedociągnięć mogą usunąć sami pracownicy. Dlatego wy- szatkowo dużym nakładem finansowym szanie po paru tygodniach są zde- wostawa, armatura powyrwana i skradzo- na? W zakładzie pracy spędzamy prawie jedną trzecią swego życia, traktujmy go więc jak swój własny dom.

zniano na długie oddychowy, mogą wywo- lwać zapalenie oskrzeli i tchawicy. Bada- nia przeprowadzone przez Instytut Chemii Podziemi i Bezpieczeństwa Pra- cy krakowskiej AGH stwierdziły w budyn- ku, w mieszkaniach 2-4-krotne przekro- czenie dopuszczalnych dawek chromu. Pon- wiec na naszą decyzję: kierownictwo „Gli- maru” i „Glinika” powinny dogadać się i przekwaterować rodziny do innych po- mieszczeń. Wiemy, nie od dziś, że czło- wiek i zdrowie są najważniejsze.

Od lutego wprowadzono zasady wyce- ny wartości pracy metrem UMEWAF-87. Objęto nią wszystkie stanowiska — robot- nicze i nirobotnicze. Wyniki prac komi- sji, której przewodniczył zastępca dyrek- tora spraw ekonomicznych mgr Adam Marmuś, zostaną niebawem opubliko- wane. Co będzie miały wpływ punktów, prawdopodobnie będzie zarobi.

Awanse w starożytności: ogniomistr- zom mianowanemu Bolesławu Wacka, star- szemu nadzorca 15 tys. zł, za postaw- lenia przyczółka na ufundowanie książce- czki mieszkaniowej dla wychowanki Pa- nstwowego Domu Dziecka w Zagórzach, Małgorzaty Płatek. Brakuje suma do pełnego wkładu uzyskano z dobrowolnej zbiórki. Jeden z „fajerników” powiedział: — Na dzień ciężko doładować przez los nie zdołamy. Wskazaliśmy, że nie- one przetrzy, Teraz Małgosia będzie mieć pieniądze po strażkach z „Glima- ru” na comię życie. Jak dostaniemy podwy- żkę ufundujemy jeszcze niejedną książ- czkę.

Niektórzy już po urlopie. Nasi pracow- nicy przebywali lub przebywają na wczas- tach w Wysowej i Kolobrzegu, grupa sze- ściu odwiedziła NRD.

Zakładowa straż pożarna otrzymała we- współzawodnictwie w zakresie czystości i porządku nagrodę 15 tys. zł, za postaw- lenia przyczółka na ufundowanie książce- czki mieszkaniowej dla wychowanki Pa- nstwowego Domu Dziecka w Zagórzach, Małgorzaty Płatek. Brakuje suma do pełnego wkładu uzyskano z dobrowolnej zbiórki. Jeden z „fajerników” powiedział: — Na dzień ciężko doładować przez los nie zdołamy. Wskazaliśmy, że nie- one przetrzy, Teraz Małgosia będzie mieć pieniądze po strażkach z „Glima- ru” na comię życie. Jak dostaniemy podwy- żkę ufundujemy jeszcze niejedną książ- czkę.

Głos Złoty Głok

Czy warto lepiej pracować?

— Nie warto się starać — słysze tu i ówdzie na wydzielach. — Tak naprawdę nie opłaca się zwiększać produkcji i eksportu. Wynisk, organizacyjny i techniczny był już spory, a korzyści dla Fabryki i zalogi niewielkie.

Głosy takie są powszechne, nie wolno ich bagatelizować. „Glinka” to firma duża i dobra, osiągająca niezłe wyniki ekonomiczne. Zysk jest tutaj uczciwie wypracowany, bez dotacji i dopłat. Jak to więc jest? Warto czy nie warto lepiej pracować? Pytanie z pozoru tylko retoryczne. O odpowiedź zwróciłem się do mgr Zofii Zastępowej, kierującej działem analiz i prognozowania. Była to długa rozmowa o strategii i taktyce działania Fabryki. Mysląc o jutrze należy starannie analizować rynek, popyt i postęp techniczny nie tylko w kraju, ale i na świecie. Postanowiliśmy przeprowadzić ekonomiczny eksperyment. Założenia były następujące: produkcja (sprzedaż) i eksport wstępują w przedsiębiorstwie o 10 proc. Co wtedy stanie się w firmie, jaka będzie jej kondycja, zyski?

10 procent to dużo. W przypadku Fabryki oznaczałoby to przyrost sprzedaży o 3,8 mln zł, w tym — eksportu o 800 mln zł. Jakże będą z tego tytułu zyski finansowe? Zysk wzrośnie o 600 mln zł, za eksport przyznane zostaną ulgi — 45 mln zł i zwolnienia z opodatkowania wynagrodzeń — 20 mln zł.

— Niestety, mechanizmy systemowe reformy karzą przedsiębiorstwa za podniesienie wydajności i wzrost produkcji — mówi Zofia Zastępową, a później jej analizę potwierdzają w dyrekcji.

Według przybliżonego i uproszczonego rachunku z wygosparowanego zysku (600 mln zł) po opłaceniu podatku dochodowego i podatku od ponadnormatywnych wypłat wynagrodzeń w przedsiębiorstwie pozostaje zaledwie jedna piąta. Fabryka będzie bowiem musiała sfinansować przyrost zapasów materiałowych do zwiększonej produkcji. Suma to niebagatelna — bo aż 2 mil. zł. W przypadku uzyskania kredytu bankowego same odsetki w ciągu 3 miesięcy wyniosą 100 mln zł. Wspomniany już podatek od przyrostu wynagrodzeń (za zwiększoną produkcję) trzeba przeciwieć wielokrotnie — również 100 mln.

Ż. 10-procentowego wzrostu produkcji i eksportu korzyści będą więc skromne: 150 mln zł. Biorąc pod uwagę co najmniej 40-procentowe podwyżki cen surowców i usług inwestycyjnych, dla utrzymania poziomu inwestycji z roku poprzedniego niezbędne są środki wyższe o 900 mln zł. Mamy więc do czynienia z ekonomicznym absurdem. — Wysoki przyrost produkcji zamiast pomnożenia zysku — mówi Zofia Zastępową — spowoduje pogorszenie kondycji finansowej przedsiębiorstwa i nie wyzwoiło pożądanego środka na rozwój. Pogłębi się dekapitalizacja już mocno zużytego majątku trwałego. Trudno również mówić o jakiegokolwiek motywacji zalogi do poniekądania zysku i wydajności pracy.

Kraj potrzebuje zwiększenia produkcji, a z drugiej strony mechanizmy reformy (głównie podatkowe) ten przyrost blokują. Lepiej był średniakiem, nie wychylać się i nie windować wydajności. Kłopotów sporo, a zyski — praktycznie żaden.

W ekonomii cudów nie ma, reguły są twarde. To zrozumiałe, że sytuacja gospodarcza państwa powoduje konieczność okresowych obciężeń: raz chęć za wszelką cenę postrząsnąć inflację. Tyle że bezwzględne mechanizmy podatkowe (hamujące m. in. wzrost wynagrodzeń za rzeczywisty wzrost produkcji) nie są skuteczne. Marzy nam się reforma „użyteczna” i względnie ustabilizowane reguły gry pozwalające na co najmniej umiarkowany rozwój dobrze pracujących jednostek gospodarczych. Zbyt duża częstotliwość zmian, ich niedoradność powodują „huśtawkę kondycji finansowej” przedsiębiorstw, mimo wykonywania zadań przewyższających ustalenia Centralnego Planu Roczego — mówi Zofia Zastępową.

W przypadku „Glinki” realizacja celów zbieranych z preferencyjnymi kierunkami polityki gospodarczej państwa nie przysparza korzyści. Wprost przeciwnie: wywołuje zakłócenia techniczne, surowcowe i finansowe.

Wnioski z ekonomicznego eksperymentu, jaki przeprowadzono w dziale analiz i prognozowania, nie są budujące. Przede wszystkim zbyt wysokie są podatki i zamiast wyzwalać przedsiębiorczość i sprzyjać wzrostowi efektywności — działają hamująco. Skórka (w postaci haraczu ściągającego przez fiskusa) nie warta jest wyprawk.

To i owo

Fabryka posiada pięć przedszkoli, administratorów obsługujących Wydział Oświaty i Wychowania Urzędu Miejskiego w Gorlicach. W zamian za pomoc rzeczową i materiałną dzieci pracowników mają prawo do korzystania z pensjonatu w przyjeżdżających do tych placówek.

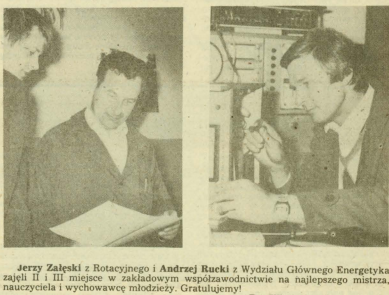
Od kilku lat spore problemy nastroża realizacja deputatu węglowego dla pracowników „Glinki”. Centrala Zbytu Węgla nie jest w stanie precyzyjnie określić rocznych przydziałów węgla. Układ zbiorowy z 1980 roku jest interpretowany tak, że załóżne nie należy się węgiel deputatów, ale zapewnia się jedynie zbiorowy zakup dla Fabryki. W ostatnich latach otrzymujemy rocznie około 11 tys. ton węgla. Związek Zawodowy zabiega o to, żeby każda

uprawniona do deputatu węglowego dla rodziny została w węgiel na zimę zaopatrzona.

Na ostatnim plenum KZ PZPR skrytykono ją jakoś posiłków wydawanych przez zakładowe bufety. Do picia jedynie kawa, słabe zaopatrzenie na drugiej zmianie. Niewystarczające jest wyposażenie techniczne bufetów i stołówek, brakuje pojemników, wózków, sporo do zyczenia pozostawia estetyka serwowanych potraw. Ludzie nawet dopłaca z własnej kieszeni, żeby zupy nie były słone i wodniste.

Jestem zmeżony — powiedział trener koszykarek „Glinki”, Krzysztof Hajduk i irzygnował wraz ze swoim asystentem, Adamem Trojanowiczem z prowadzenia zespołu. — Z klubem nie chcę zrywać, chętnie podpiszę nie zakładowe kodeksy. Wróble na wieżbie ćwierkają, że tłumaczenie się trenera Hajduka „zmeżony” to wybieg. Zarząd klubu i kibice wysoko oceniali do tej pory pracę trenera Hajduka. Czyżby coś się zmieniło?

Laureaci



Jerzy Załęski z Rotacyjnej i Andrzej Rucki z Wydziału Głównego Energetyki zajęli I i III miejsce w zakładowym współzawodnictwie na najlepszego mistrza, nauczyciela i wychowawcę młodzieży. Gratulujemy!

Fot. Władysław Przybyłowicz

Szkoci w fabryce

W „Glinku” goszczą dwóch przedstawicieli szkockiej firmy „Oreco”, specjalizującej się w produkcji urządzeń wiertniczych: dr Hector Desusman i John Koe-hairman. Jem nauczyciela, zdobywcę olimpiady przy poszczególnych fazach produkcji, rozmawiali z dyrektorem, konstruktorem i technologami. Interesowali się przede wszystkim możliwością nawiązania kooperacji w produkcji świrdów grzykowych,

które wykorzystuje się do wiercenia otworów przy poszukiwaniu i eksploatacji złóż ropy naftowej.

Konkretnie decyzję w tej sprawie odłożono na jesień. Rejuje się możliwość skorzystania z funduszu Banku Światowego, który chce sfinansować produkcję wiertnic, podjętą wspólnie przez „Glinkę”, „Oreco” i Polskie Górnictwo Nafty i Gazu.

Najstarszy pracownik

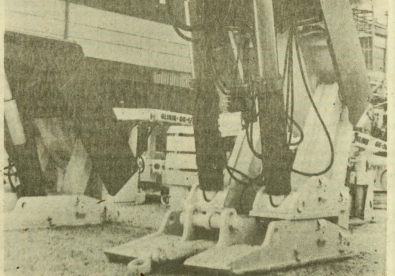
Kto jest najstarszym pracownikiem „Glinki”? — zapytałem w kadrach. Na odpowiedź nie trzeba było długo czekać. Komputer wskazał na 67-letniego Tadeusza Zastępe. Praktykę zawodową rozpoczął w 1936 roku w warsztacie ślusarskim Kazimierza Rydlarskiego w Gorlicach. Do Fabryki przyszedł 1 września 1940 roku. Tęki w niej nieprzerwanie od 48 lat.

Rydarski był surowym, wymagającym majtrem. Jem nauczyciela, zdobywcę olimpiady przy poszczególnych fazach produkcji, rozmawiali z dyrektorem, konstruktorem i technologami. Interesowali się przede wszystkim możliwością nawiązania kooperacji w produkcji świrdów grzykowych,

Z perspektywy lat widzę olbrzymie zmiany w zakładzie „Glinki” z warsztatu rzemieślniczego przeobraził się w nowoczesne przedsiębiorstwo. Impuls dała uchwała Rada Ministrów z 1962 roku o rozwoju przemysłu wiertniczego, a później specjalizacja w produkcji urządzeń górniczych. Pomysłowi Polscy zaczęli długo zalegać będzie m. in. od wydobycia węgla, roboty nam na pewno w najbliższych latach nie zabraknie.

Fan Tadeusza w uznaniu zasług został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Skromny, nie chce dużo mówić o sobie. O jego przywiązaniu do Fabryki niech poświadczą fakt, że wszystkie cztery córki, absolwentki AGH, namówił do pracy w „Glinku”. Maria i Barbara są technologami, opracowują m. in. programy do obrabiania sterowanych numerycznie. Lucyna i Bożena pracują w dziale elektronicznej techniki obliczeniowej.

Kolumnę „Głos Glinki” redaguje JERZY LEŚNIAK





Gdzie kucharek sześć

Kiedy będą mieszkania

Dwa lata temu miały być ukończone dwa bloki stawiane przy zakładach Spółdzielni Mieszkaniowej „Tatrzańską”. Pracownicy oczekujący na mieszkanie niecierpliwi się: kiedy wreszcie otrzymają klucze do własnych lokali? Stanisław Treła, Członek Rady Spółdzielni, wyjaśnia — Rzeczywiście oddanie bloków przy zbiegu ulic, Tatrzańskiej, Krótkiej i Kune-gundyskiej było już przedmiotem umowy z właścicielami, prywatnego domu dla ułanów nam coraz to nowe warunki, często nierealne.

Wykonawcą jednego bloku jest Grupa Remontowo-Budowlana SZEW, a drugiego — od bieżącego roku — prywatny ze-

mieśnik. Początkowo planowaliśmy przekazać pracownikom 46 mieszkań, udało się jednak przeprojektować strychy, co dało dodatkowo 5 lokali.

Ostatnio odbyło się Walne Zebranie członków Spółdzielni, nowym presem wybrano Andrzeja Kutaka z wydziału elektrycznego. Ustalano także termin oddania bloków na koniec przyszłego roku.

Podpisaliśmy się już wstępnych roz-mów, aby skompletować wyposażenie mieszkań. Mamy stółki okienne, oczekujemy na piekicy gazowe, kłopoty będą zapewne z grzejnikami. Rozpoczęliśmy rozbudowę naszej kolumny przy ulicy Waryńskiego. Jeszcze w sierpniu mamy otrzymać specjalne kotły. Robi się też fundamenty pod 46 metrowych komin przy kolumnie.

W rozmowach z pracownikami fabryki wciąż powraca sprawa stołówki zakładowej. Większość mówi rozmówcom narzeka na złą jakość zup regeneracyjnych, mało urozmaicone zestawy śniadaniowe, obiadowe, niesztetyczny sposób podania. Odwiedziliśmy więc kierowniczkę stołówki PSS „Spolem” przy SZEWE, Janinę Jezabek.

— Jestem bardzo zdziwiona słysząc, że pracownikom SZEW nie smakuje nasze jedzenie — powiedziała. — Z których są wydziałów? — To trudny zakład, ludzie zarabiają tu sporo, chcieliby więc jeść dużo, przede wszystkim dobre mięso i warzywa. Kiedyś miało do jedzenia fure mięsa, są zadowoleni, w przeciwnym wypadku awanturują się. Wydajemy dziennie 800 obiadów. Oczywiście, co jakiś czas potrawy się powtarzają, to nie do uniknięcia, zwłaszcza przy brakach surowców. W ubiegłym miesiącu otrzymaliśmy niewiele ponad tonę mięsa przydzielonego przez Wydział Handlu, pozostałe mięso i podroby zaltawaliśmy na własną rękę. Żaloga nie może więc się uskarżać, że w czerwcu brakowało mięsa.

Na potwierdzenie swych słów Janina Jezabek pokazuje mi czerwone jadalniszki. Wyczuje z nich, że np. pod koniec miesiąca oferowano kotlety mielony z kurczaka, kotlety schabowe, pieczeń wieprzową z karczku, golonkę, wiatrobie wieprzową, naleśniki z dżemem, jajecznicę, flaki i

plućka na kwasno. Kierowniczka przyznaje jednak, że np. golonki miała 30 czerwca tylko 40 porcji.

Janina Jezabek pokazała mi również notatkę służbową z 6 maja. Wynika z niej, że tego dnia odmówił spożycia krupniku wydział mechanizacji. Probki potrawy wysłano do Wojewódzkiego Stacji Sanitar-no-Epidemiologicznej oraz Wojewódzkiego Laboratorium Produkcyjno-Gastro-nomicznego PSS „Spolem”. Kontrolujący nie zgłosili zastrzeżeń do jakości badanej zupy.

Mam już za sobą 39 lat pracy — powiedziała kierowniczka Jezabek — i nie będę na rok pracownikiem biurojaki stołówki w agencji. Wiem, że zakład poszukuje chętnego i wysłał już ogłoszenie do prasy. Trudno mi też w pełni odpowiedzieć za jakość posiłków regeneracyjnych, gdyż nie są one przez nas rozwozowe, np. wydziałów, a na drodze może się stać wiele rzeczy.

Na zakończenie rozmowy kierowniczka zawała praktykantki, które powiedziały mi, że nie zdarzyło się nigdy, żeby pracownicy skargili im na jakość posiłków regeneracyjnych, wręcz odwrotnie — często proszą o repetit.

Starzejemy się...

Gdy zaczynaliśmy 18 lat temu, mówi zastępca kierownika wydziału wyrobów drobnych, Marian Jop — nasz wydział był jednym z najmniejszych w zakładach. Teraz naszymi zastępcami się, budynki i ludzie — też. W ujęcie mieszniaki nasz, przy produkcji kłotoń czy w grupie parowania najwięcej pracowników z całego SZEW. Wykupa na to również stała intensyfikacja produkcji bez modernizacji maszyn i urządzeń. Pozostaliśmy u tyle za postępem, jaki dokonał się w tym czasie w przemyśle elektrodowym w kraju i za granicą. Niekorzystna jest dla nas polityka modernizacyjna zakładów, gdyż w pierwszej kolejności jest odnowienie i unowocześnienie ciągu wyrobów grubych, a nas skazuje na dalsze starzenie się.

wieczek. Praca była bardziej skomplikowana, ale rzeczywiście znacznie cięższa niż w wydziałach produkcji ciężkiej. Teraz urosła nam wyprawa przy Tatrzańską na place nie możemy narzekać — pracownicy wydziału wyrobów drobnych o-siagają zarobki w wysokości 32 tys. zł (średnia płaca w SZEWE wynosi 47 tys. 20).

Utrzymanie właściwego rytmu produk-cji uniemożliwiają braki surowców. Zdarza się, że przez jakiś czas nie ma roboty, a potem trzeba „gotować”. Obecnie np. brakuje żywności, gdyż jej producent z Pusztowa — wskutek dużego zanieczyszczenia fenolem Wisłoki — musiał wystrzymać produk-cję.

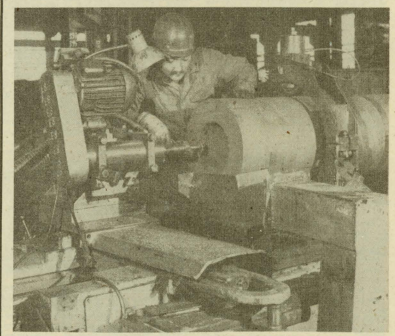
Borykamy się stale z niedostatkami narzędzi — dodaje Paweł Ziemobowicz, brzygadista mechaników precyzyjnych. Każdy detel czy urządzenie trzeba do-wolnie wyjeżdżać od producenta. Pracujemy narzędziami o złej jakości co utrudnia pracę. Brakuje nam uchyłków tokarskich, piln z nakładką śpiączką, lin na zawieszanie, brzeszczotów do piln. Te ostatnie pojawiły się ostatnio w sklepie przy ulicy Łuwickiej, ale tam nie wystawiają rachunków.

Piotr Kwaśniewski pracuje przy produk-cji granulatów dziesięć lat. Jest zdania, że wydział, w którym panują warunki szkodliwe dla zdrowia, nie powinny być obiektem akordem. Narzeka na złą jakość niektórych wyrobów, np. obudowy stalowe pejąką lub są nieszczelne.

Wydział wyrobów drobnych produkuje miesięcznie około 300 ton wyrobów. Zająłoby podjąć pracę z elektrodami, w której zobowiązuje się wyprodukować w tym roku — poza godzinami pracy — dodatkowo wyrobów wartości 70 mln zł.

Wydział wyrobów drobnych stanowi jakby miniaturę całych zakładów. Za-chodzą tu procesy technologiczne identyczne jak w wydziałach wyrobów grubych. Stojące się także wszystkie znane w prze-myśle elektrodowym metody formowania wyrobów. Do podstawowych produktów wytwarzanych w dziale wyrobów drobnych należą elektrody o małych średni-cach, elementy aparatury chemicznej (wyroby karbowe i gralany), płytki wy-kładkowe, grafity czyste, masy i kity. Znajdują one zastosowanie w wielu dzia-łach przemysłu. Służą np. do produk-cji półprzewodników, prętów grzewczych, tworzyw szcokowych, uszczelnień, tygli, pierścieni samosmarnych, pomp, ru-rzogów kwasoodpornych itp.

Kiedy szesnaście lat temu przyszedł-tam tutaj do pracy — wspomina brzygadista Jop — nie było tu „młodzieży”, że będziemy mogli pracować w innych ręką



Fot. KONRAD POLLESCH

Komendant

Jan Siłomczykowski pracuje w SZEWE od 1964 roku. Przez szesnaście lat był przejmającym służył w SZEWE, a od 1980 jest komendantem Strazy Przemysłowej. Gdy wchodzi do pokoju stu-dyjnego ustawie o wychowaniu w trzeźwości. Wydział Inspecji Ochrony Przemysłu Wojewódzkiego Urzędu Sprawy Wewnętrznych zarząca nam zbyt małą „wy-krywalność” przypadków naruszania u-stawy antyalkoholowej, wyjaśnia — a ja wrogim się nie ustawie od trzech lat i stwierdzam, że po prostu jest ona w na-szym zakładzie przestrzegana. O ile na początku lat osiemdziesiątych spożył-kiem się z piwem na terenie zakładu lub próbami unoszenia alkoholu, dzisiaj już mamy z tym spokój. Ludzi odstrasza-ją wysokie kary, aż do zwolnienia z pracy. Od początku tego roku zatrzymaliśmy tylko jednego pijanego. Odwieziono go do izby wytrzeźwień oraz ukarano wpisaniem nagany do akt. W efekcie kosztowało go to kilkadziesiąt tysięcy złotych, gdyż nie otrzymał premii z funduszu zakładowego z karty „Hutnika”. Jesteś ktoś przychodzi do pracy ze stanem uszupkowującym na spożycie alkoholu, musi z portierni dzwonić do swojego kierownika z prośbą o urlop. Osoby nieatrakcyjne strażnicy nie wpusz-czają na teren zakładu.

Czy pracownicy próbują coś wynieść z SZEWE? Zdarza się. Notowsaliśmy nawet próbę przemycania pod materiałami od-padowymi... całych silników elektrycz-

nych. Niedawno zaś członek, który krótko przechodził na emeryturę, usiłował wynieść pod drzwiami odpadnięty 2 pa-ry drzwi i blachę. Sad tu trybie przypisze-nyemu wymierzyć mu 30 tys. zł grzywny, z przesłaniem na Narodowy Czyn Pomocy Szkole. Natomiast w zakładzie odebrano mu odznakę „Zasłużony dla SZEWE”.

Zadaniem Strazy Przemysłowej jest tak-że patrolowanie zakładu w celu wyłapania przypadków niegospodarności i mar-notrawstwa. Wraz z tutejszą jednostką Zawodowej Strazy Pożarnej prowadzimy stałe kontrole zabezpieczenia przeciwpo-żarowego. Najwięcej kłopotów mamy z dewastowaniami wciąż ogrodom. Ledwo zalała się jedna dzwina, a już gdzieś indziej jest nowa. Jakoby to pracownicy którzy chcą — w godzinach pracy — opuścić zakład.

Sądę, że nasza praca przynosiłaby jeszcze większe efekty, gdyby każdego strażnika wyposażono w radiotelefon. Zapełniłoby to stały kontakt z dowództwem. Przed rokiem złożyliśmy zaprosze-nie na radiotelefony, ale dotychczas nie otrzymaliśmy odpowiedzi.

Ladu i porządku w SZEWE strzeże 27 osób, w tym 4 kobiety. Na szczególne wyróżnienie za długoletnią i nienaganną służbę zasługują: Jania Ogóralska, Józef Wierny, Bronisław Majocha, Józef Ku-mor i Jan Wojcik.

Dar zycia

W 1970 roku — z inicjatywy ówczesnego kierownika przychodni zakładowej, Tadeusza Palki oraz komendanta Zakładowej Strazy Przemysłowej, p. Józefa Palki — założono Klub Honorowy Pracowników Krwi SZEWE. Początkowo niewielka, 15-osobowa grupa przyciągnęła nowych krwiodawców.

W 1977 roku przewodniczącym Klubu wybrano Zdzisława Tokarza, który nie-pełnił funkcję przez dziesięć lat. Następnie prowadzenie Klubu powierzono Krzysztofowi Janikowi, a jego zastępcami wy-

brano — Zdzisława Tokarza i Jerzego Pajora.

Obecnie klub zrzesza ponad 100 człon-ków, wśród których jest 18 krwiodawców posiadających za oddanie 6 litrów krwi odznakę „Zasłużony Honorowy Dawca Krwi”. W listopadzie, 5 października za oddanie 10 litrów krwi, oraz jednego za oddanie 25 litrów krwi wyróżniono od-znaką i stopnią oraz Złotym Krzyżem Zasługi.

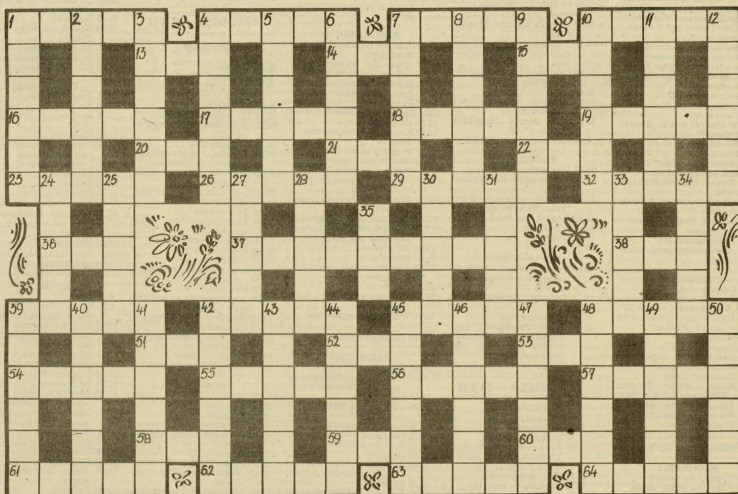
Do najaktywniejszych krwiodawców i działaczy Klubu HDK SZEWE należą Ka-zimierz Janik, Andrzej Baśka, Władysław Machowicz, Władysław Stach, Ry-szard Puchalski, Antoni Pawłowski, Jerzy Pajor, Stanisław Trela, Franciszek Rodziński i Tadeusz Dumkiewicz.

W ostatnich pięciu latach członkiem Klubu Honorowych Dawców Krwi przy SZEWE oddał średnio rocznie 50 litrów krwi, w zamian bank krwi zapewnia ten cenny lek w niewielkiej liczbie pacien-tom SZEWE oraz członkom ich rodzin.

Kolumnę „Elektrografii”, Sadeckich Zakładów Elektro-Węglowych, redaguje DANUTA BINEK

KRZYSZTOF JANIK

KRZYŻÓWKA NR 28



POZIOMO: 1) namaszczenie koronowanej głowy, 4) np. telewizyjny, 7) źródło mineralne w Krynicy, 10) gwara amerykańska, 13) stawonóg, 14) tytułowa bohaterka przedwojennego piosenki, 15) jednostka oporności elektrycznej, 16) dawniej księżyc, 17) strach, lęk, 18) ryba drapieżna, 19) rzadki metal z grupy platynowców, 20) rasa psa, 21) kwas dezoksyrybonukleinowy, 22) pierwiastek chemiczny, 23) seria, rząd, 26) dychawka, 29) tkanina na pieluszki, 32) szczyt, najwyższy punkt, 36) rzeka – bohaterka powieści Szolochowa, 37) dziennik wydarzeń, 38) imię Cembryńskiej, 39) pierwszy okres ery mezozoicznej, 42) rezydencja sułtana, 45) trująca bylina, zawierająca akonitynę, 48) dzieli budynek na kondygnację, 51) synk-

na, 52) ang. piwo jasne, 53) ustalony sposób odprawiania obrzędów religijnych, 54) najstarsze narzędzie do spulchniania gleby, 55) ptak z rzędu kura-ków, 56) czarnoksiężstwo, kuglarstwo, 57) magmowa skała żyłowa, 58) gatunek wierzby, 59) stosowany w medycynie do zwalczania nowotworów złośliwych, 60) rzeka z piosenki, 61) wiek, 62) świadczenie z tytułu ubezpieczenia, 63) pierwiastek promieniotwórczy, 64) narzędzie tnące do pielien chwałstów.

PIONOWO: 1) futebal na luk i strzy-
by, 2) silna trucizna stosowana do za-
truwania ostrzy strzał, 3) element ar-
chitektoniczny, 4) sielanka, 5) pogar-
dliwe określenie bakałarza, 6) posie-

dzenie, 7) przełęcz w Tatrach, Wysoko-
ści, 8) bielak, 9) archegonium, 10) grzyb jadalny, 11) zmywacz do lakie-
rów, 12) kolor ciemnoniebieski, 24) na
czele wyścigu, 25) zgłębnik, 27) ma 2
komory i 2 przedionki, 28) planik sy-
tuacyjny, 30) muza poezji miłosnej,
31) wotka, 33) państwo w Afryce, 34)
bagieny las nadrzeczny na Nizinie
Amazonki, 35) głupi jak..., 39) utrzu-
myje ciepło, 40) niebieski barwnik ka-
dźowy, 41) śpiewający ptak, 42) ryba
akwariowa, 43) obszar o specyficz-
nych cechach, 44) choroba oka, 45) bo-
gini sprawiedliwości, 46) rodzaj kwa-
żonego mleka, 47) prawodawca ateń-
ski, 48) niemiecki obóz jeniecki, 49) gra
hazardowa, 50) naczynie na owoce.
Rozwiązania prosimy przysłać do
dnia 3 sierpnia br.

Rozwiązanie krzyżówki nr 26

POZIOMO: 1) amulet, 2) termit,
8) Erato, 9) termin, 10) pędrak, 11)
ikona, 12) relaks, 15) zendra, 18)
skunks, 21) salami, 24) inlet, 26) krę-
gle, 27) absurd, 28) jawor, 29) łaźnia,
30) tartak.

PIONOWO: 1) autor, 2) limba, 3) te-
nis, 4) lato, 5) topaz, 6) Rodan, 7) ty-
kwa, 13) Elk, 14) kok, 16) era, 17) rum,
18) sokół, 19) nagan, 20) sieja, 21)
start, 22) laser, 23) indyk, 25) lewa.
Za prawidłowe rozwiązanie krzyżów-
ki nr 26, droga losowania nagrody
otrzymują: **Kazimierz Drożdż** z Jodlo-
wnika oraz **Michalina Welter** z Rabki.
Nagrody książkowe przesyłamy poc-
tą.

HOROSKOP

BARAN: poczekaj, nie spiesz się, nie
poddawaj się złym nastrojom, niedugro
popatrzysz na całą sytuację zupełnie ina-
czej – do brzoj okres, aby nadgonić zaległo-
ści w pracy.

BYK: wiele nowości, na których już teraz
bardzo ci zależy – jeśli będziesz chłod-
ny i działaj, możesz zrealizować plany, które
do tej pory skrywałeś.

BLIŹNIĘTA: najwzajemniejsze będą inter-
sy, możesz wiele zyskać, nie owijajaj się
ryzika – nie wdawajaj się w uczone dyspu-

ty, spróbuj posługiwać się zdrowym roz-
sądkiem.

RAK: atuty znajdują się niespodziewanie,
wszystko będzie na dobrej drodze – nie
zamykaj się w skorupie, bądź otwarty,
szukaj kontaktów z ludźmi.

LEW: przyda ci się poczucie humoru,
 optymizm, czynliwy uśmiech dla ludzi, na-
to przecięć się stać – już teraz planuj
swoje najbliższe posunięcia, bądź mialy
dla ciebie ważne skutki.

PANNA: nie roguj zbyt gwałtownie, jeśli
coś nie idzie po twojej myśli, przeskadza
to tylko w dokładnej analizie przyczyn
niepodażenia – niewiele stracisz, jeśli
przed sobą przynajmniej się do błędów.

WAGA: nie licz, że urok osobisty pozwoli
ci załatwić wszystkie sprawy, potrzeba
jeszcze trochę wysiłku – w domu możli-
wie nieporozumienia, ktoś bliski ocenia cię
bardzo krytycznie.

SKORPION: twoja energia może ci spr-
awie nieco kłopotów, nie wpłatuć się w
sprawy, które nie przyniosą ci pożytku
– masz na widoku niewiele zyski, bądź kon-
sekwentny i praktyczny.

STRZELEC: zachowaj umiar, nie szalej,
nie buduj zamków z piasku – możesz li-

czyć na życzliwość bliskich, bądź dla nich
wrozumiały i ciepły.

KOZIOROŻEC: powinienes kończyć swo-
je przedsięwzięcia, bo już niedugro wpad-
niesz w wir nowej pracy, nowych obowi-
zków – dobry nastrój pomoże ci wybrnąć
z trudnych sytuacji.

WODNIK: spokojnie czekaj, już niedugro
przyjdzie dzień, kiedy karta się odwróci
– nie przykładać zbyt wielkiego znacze-
nia do zewnętrznych atrybutów władzy,
to wcale ci nie jest potrzebne.

RYBY: trochę niezdecydowania, wahania
co wybrać, gdy masz sprzeczne uczucia,
czekania na rozwój wypadków – nie rob
z tego zbyt wielkich problemów, samo
przejdzie.

PROGRAM I
8.25 Program dnia
8.30 Film dla młodych widzów:
„Szatan z siódmej klasy”
10.50 22 Festiwal Piosenki Żołnierskiej — Kolobrzeg '88
11.50 Teleexpress odprawa wart przed Grobem Nieznanego Żołnierza w Warszawie
12.50 Gdynia lubi stolicę — program dok.
22.15 Staromiejscy obrachunki
13.45 Dzień dobowy — jak — śpiewa Helena Vondrackowa
14.15 Uroczysta odprawa z charakterem — film dok.

15.50 Muzyka polska
20.10 Studio sport
17.15 Teleexpress
17.30 W starym kinie: „Paweł i Gawel”
19.30 Wieczorne wiadomości
19.30 Dziennik

20.00 „Cesarskie cięcie” — film fab. prod. polskiej
21.30 Recital Danuty Stankiewicz
22.05 Kronika wysięgu dookoła Polski
22.15 Konwój: Płock — Gólab Dobry
22.15 „Nieustraszone” — film sensacyjny prod. włoskiej

PROGRAM II
14.55 Program dnia
15.00 Dookoła świata
16.40 „Słodka czer” — film TP
16.30 Piękna nasza ziemia cala zespół „Krakus”
17.00 Studio sport
19.00 Magazyn „102”
19.30 Kazimierz '88 — reportaż
20.00 Magazyn „Piątek”
21.30 Panorama dnia
21.45 Film z Jeanne Moreau: „Winda na szafot” — film fab. prod. francuskiej

22.15 Wieczorne wiadomości
23.20 Telewizja nocą

SOBOTA — 23 VII

PROGRAM I
8.10 Tydzień na dzialec
8.40 Piękna kadra czeka
8.55 Program dnia
9.00 Kino najmożliwszych: „Maria i Mirabela”
10.50 Chinuk — reportaż
10.30 DT — wiadomości
10.40 Stare, nowe, najnowsze
11.40 Piosenki z dedykacją dla żołnierzy
12.10 Wędrowki dalekie i bliskie
13.00 Bariery — problemy ludzi niepełnosprawnych
13.35 Z Polski rodem — magazyn polonijny
14.25 Telewizja prowincja
15.00 Antologia: „Kłopoty powstaniego: Klara Fehér — Wyszarye jeden telefon”

16.15 Antologia Dużego Lotka
18.25 Konwój Gólab Dobry — Malbork

PROGRAM II
17.15 Teleexpress
17.30 „Pod jednym dachem” (4) — „Rywal” serial TV CSRS
18.30 Dobranoc
19.10 Z kamery wśród zwierząt
19.30 Dziennik telewizyjny
20.00 „No i co doktorku” — komedia prod. USA
21.30 Telewizyjny przegląd sportowy
22.00 Kronika wysięgu dookoła Polski
22.10 Tydzień w polityce — komentarz Karol Szyndler
22.20 I Festiwal polskiej piosenki — Witebsk '88
23.40 DT — wiadomości
23.50 Anegdota teatralne Igora Smiałowskiego
23.55 Kino nocne: „Inspektor Bellamy” (4)
0.40 Zakończenie programu

14.55 Powitanie
15.00 Telewizyjny koncert zyczeń
15.00 „Akcja o.p.e.n.” — serial prod. francuskiej
16.30 Komedia po polsku
17.00 Spektrum
18.00 Kronika
18.00 Godzina z „Dwójki”
19.30 „Dziękuję ci, miś”
20.00 Koncert gwiazd — 27 Festiwal moniuszkowski — Kudowa '88
20.55 Fama '88 — relacja z festiwalu
21.30 Panorama dnia
21.45 „Lata dwudzieste, lata trzydzieste” — Szkoła trzech leń” film fab. prod. polskiej
23.15 Wieczorne wiadomości

NIEDZIELA — 24 VII

PROGRAM I
7.40 Program dnia
7.45 Po gospodarstwu
8.15 Tydzień
9.00 Kino telefoniczne: „Przygody Tomka Sawyera i Huckelberry Finna”
10.30 DT — wiadomości
10.35 Trójmiasto — reportaż
11.35 „W wielkich wytwórniach świata” (6-ost.)
12.30 Siedem anten
13.00 Kłopoty z miastem
13.30 Telewizyjny koncert zyczeń
14.20 Ze sztuką na ty
15.40 Polityka, politycy
15.25 „W kamiennym kręgu” (6 i 7)
17.15 Teleexpress
17.30 „Pod jednym dachem” — Ebląg
18.20 Marek Sielicki zaprasza
18.30 Antena
19.00 Wieczorka
20.00 „Dom” (II) — Jedenaste: nie wychyłał się” serial TP
21.35 Sportowa niedziela
22.01 Festiwal polskiej piosenki — Witebsk '88

PROGRAM II
17.15 Teleexpress
17.30 „Pod jednym dachem” (4) — „Rywal” serial TV CSRS
18.30 Dobranoc
19.10 Z kamery wśród zwierząt
19.30 Dziennik telewizyjny
20.00 „No i co doktorku” — komedia prod. USA
21.30 Telewizyjny przegląd sportowy
22.00 Kronika wysięgu dookoła Polski
22.10 Tydzień w polityce — komentarz Karol Szyndler
22.20 I Festiwal polskiej piosenki — Witebsk '88
23.40 DT — wiadomości
23.50 Anegdota teatralne Igora Smiałowskiego
23.55 Kino nocne: „Inspektor Bellamy” (4)
0.40 Zakończenie programu

14.55 Powitanie
15.00 Telewizyjny koncert zyczeń
15.00 „Akcja o.p.e.n.” — serial prod. francuskiej
16.30 Komedia po polsku
17.00 Spektrum
18.00 Kronika
18.00 Godzina z „Dwójki”
19.30 „Dziękuję ci, miś”
20.00 Koncert gwiazd — 27 Festiwal moniuszkowski — Kudowa '88
20.55 Fama '88 — relacja z festiwalu
21.30 Panorama dnia
21.45 „Lata dwudzieste, lata trzydzieste” — Szkoła trzech leń” film fab. prod. polskiej
23.15 Wieczorne wiadomości

PROGRAM I
7.40 Program dnia
7.45 Po gospodarstwu
8.15 Tydzień
9.00 Kino telefoniczne: „Przygody Tomka Sawyera i Huckelberry Finna”
10.30 DT — wiadomości
10.35 Trójmiasto — reportaż
11.35 „W wielkich wytwórniach świata” (6-ost.)
12.30 Siedem anten
13.00 Kłopoty z miastem
13.30 Telewizyjny koncert zyczeń
14.20 Ze sztuką na ty
15.40 Polityka, politycy
15.25 „W kamiennym kręgu” (6 i 7)
17.15 Teleexpress
17.30 „Pod jednym dachem” — Ebląg
18.20 Marek Sielicki zaprasza
18.30 Antena
19.00 Wieczorka
20.00 „Dom” (II) — Jedenaste: nie wychyłał się” serial TP
21.35 Sportowa niedziela
22.01 Festiwal polskiej piosenki — Witebsk '88

PROGRAM II
17.15 Teleexpress
17.30 „Pod jednym dachem” (4) — „Rywal” serial TV CSRS
18.30 Dobranoc
19.10 Z kamery wśród zwierząt
19.30 Dziennik telewizyjny
20.00 „No i co doktorku” — komedia prod. USA
21.30 Telewizyjny przegląd sportowy
22.00 Kronika wysięgu dookoła Polski
22.10 Tydzień w polityce — komentarz Karol Szyndler
22.20 I Festiwal polskiej piosenki — Witebsk '88
23.40 DT — wiadomości
23.50 Anegdota teatralne Igora Smiałowskiego
23.55 Kino nocne: „Inspektor Bellamy” (4)
0.40 Zakończenie programu

14.55 Powitanie
15.00 Telewizyjny koncert zyczeń
15.00 „Akcja o.p.e.n.” — serial prod. francuskiej
16.30 Komedia po polsku
17.00 Spektrum
18.00 Kronika
18.00 Godzina z „Dwójki”
19.30 „Dziękuję ci, miś”
20.00 Koncert gwiazd — 27 Festiwal moniuszkowski — Kudowa '88
20.55 Fama '88 — relacja z festiwalu
21.30 Panorama dnia
21.45 „Lata dwudzieste, lata trzydzieste” — Szkoła trzech leń” film fab. prod. polskiej
23.15 Wieczorne wiadomości

PROGRAM I
7.40 Program dnia
7.45 Po gospodarstwu
8.15 Tydzień
9.00 Kino telefoniczne: „Przygody Tomka Sawyera i Huckelberry Finna”
10.30 DT — wiadomości
10.35 Trójmiasto — reportaż
11.35 „W wielkich wytwórniach świata” (6-ost.)
12.30 Siedem anten
13.00 Kłopoty z miastem
13.30 Telewizyjny koncert zyczeń
14.20 Ze sztuką na ty
15.40 Polityka, politycy
15.25 „W kamiennym kręgu” (6 i 7)
17.15 Teleexpress
17.30 „Pod jednym dachem” — Ebląg
18.20 Marek Sielicki zaprasza
18.30 Antena
19.00 Wieczorka
20.00 „Dom” (II) — Jedenaste: nie wychyłał się” serial TP
21.35 Sportowa niedziela
22.01 Festiwal polskiej piosenki — Witebsk '88

PROGRAM II
17.15 Teleexpress
17.30 „Pod jednym dachem” (4) — „Rywal” serial TV CSRS
18.30 Dobranoc
19.10 Z kamery wśród zwierząt
19.30 Dziennik telewizyjny
20.00 „No i co doktorku” — komedia prod. USA
21.30 Telewizyjny przegląd sportowy
22.00 Kronika wysięgu dookoła Polski
22.10 Tydzień w polityce — komentarz Karol Szyndler
22.20 I Festiwal polskiej piosenki — Witebsk '88
23.40 DT — wiadomości
23.50 Anegdota teatralne Igora Smiałowskiego
23.55 Kino nocne: „Inspektor Bellamy” (4)
0.40 Zakończenie programu

14.55 Powitanie
15.00 Telewizyjny koncert zyczeń
15.00 „Akcja o.p.e.n.” — serial prod. francuskiej
16.30 Komedia po polsku
17.00 Spektrum
18.00 Kronika
18.00 Godzina z „Dwójki”
19.30 „Dziękuję ci, miś”
20.00 Koncert gwiazd — 27 Festiwal moniuszkowski — Kudowa '88
20.55 Fama '88 — relacja z festiwalu
21.30 Panorama dnia
21.45 „Lata dwudzieste, lata trzydzieste” — Szkoła trzech leń” film fab. prod. polskiej
23.15 Wieczorne wiadomości

PROGRAM I
7.40 Program dnia
7.45 Po gospodarstwu
8.15 Tydzień
9.00 Kino telefoniczne: „Przygody Tomka Sawyera i Huckelberry Finna”
10.30 DT — wiadomości
10.35 Trójmiasto — reportaż
11.35 „W wielkich wytwórniach świata” (6-ost.)
12.30 Siedem anten
13.00 Kłopoty z miastem
13.30 Telewizyjny koncert zyczeń
14.20 Ze sztuką na ty
15.40 Polityka, politycy
15.25 „W kamiennym kręgu” (6 i 7)
17.15 Teleexpress
17.30 „Pod jednym dachem” — Ebląg
18.20 Marek Sielicki zaprasza
18.30 Antena
19.00 Wieczorka
20.00 „Dom” (II) — Jedenaste: nie wychyłał się” serial TP
21.35 Sportowa niedziela
22.01 Festiwal polskiej piosenki — Witebsk '88

PROGRAM II
17.15 Teleexpress
17.30 „Pod jednym dachem” (4) — „Rywal” serial TV CSRS
18.30 Dobranoc
19.10 Z kamery wśród zwierząt
19.30 Dziennik telewizyjny
20.00 „No i co doktorku” — komedia prod. USA
21.30 Telewizyjny przegląd sportowy
22.00 Kronika wysięgu dookoła Polski
22.10 Tydzień w polityce — komentarz Karol Szyndler
22.20 I Festiwal polskiej piosenki — Witebsk '88
23.40 DT — wiadomości
23.50 Anegdota teatralne Igora Smiałowskiego
23.55 Kino nocne: „Inspektor Bellamy” (4)
0.40 Zakończenie programu

14.55 Powitanie
15.00 Telewizyjny koncert zyczeń
15.00 „Akcja o.p.e.n.” — serial prod. francuskiej
16.30 Komedia po polsku
17.00 Spektrum
18.00 Kronika
18.00 Godzina z „Dwójki”
19.30 „Dziękuję ci, miś”
20.00 Koncert gwiazd — 27 Festiwal moniuszkowski — Kudowa '88
20.55 Fama '88 — relacja z festiwalu
21.30 Panorama dnia
21.45 „Lata dwudzieste, lata trzydzieste” — Szkoła trzech leń” film fab. prod. polskiej
23.15 Wieczorne wiadomości

